

**NAUCZYCIELSKI KLUB LITERACKI
BIAŁYSTOK**



NAJPROŚCIEJ



ISSN 1898-228X

3 / 145 / 2024

☐ **POEZJA.** • Irena Słomińska (str. 3-9). • Regina Kantarska-Koper (str. 10). • Barbara Lachowicz (str. 11). • Tadeusz Dudek (str. 11). • Marek Ustymowicz (str. 12). • Katarzyna Grabowska (str. 13). • Zofia Wróblewska (str. 14-16). • Krystyna Gudel (str. 17). • Joanna Pisarska (str. 17). • Regina Świtoń (str. 18). • Roman Kowalewicz (str. 18). • Józefa Drozdowska (str. 19). • Wanda Dzierżyńska (str. 20).

☐ **PROZA.** • Jolanta Maria Dzienis. *Nazajutrz*. [Opowiadanie]. (Str. 21-22). • Zbigniew Nowicki. *Dewoci*. [Opowiadanie]. (Str. 22-24). • Tadeusz Ruffiński. *Stół*. [Proza]. (Str. 25-38).

☐ **SATYRA.** • Kazimierz Słomiński. *Fraszki (2024)*. (Str. 39-43).

☐ Kazimierz Słomiński. *Takie polskie imię Kazimierz*. (Str. 44-45).

☐ **RECENZJE.** • Kazimierz Słomiński. „*Okruchy*” *Zofii Wróblewskiej*. Rec.: Zofia Wróblewska. *Okruchy*. Brańsk 2024. (Str. 46). • Krystyna Gudel. „*Galaktyka czterech ścian*”. Rec.: Leonarda Szubzda. *Galaktyka czterech ścian*. Sokółka [2024]. (Str. 47-48). • Krystyna Gudel. „*Strzeżcie poezji gdziekolwiek jesteście*”. Rec.: Tadeusz Karabowicz. *Ślady niespodziewane na przelaj*. Warszawa 2024. (Str. 49-50). • Roman Kowalewicz. *Życie jest snem czy sen jest życiem?* Rec.: Regina Kantarska-Koper. *Zdarzenia nie do uwierzenia*. Białystok 2023. (Str. 50-51). • Joanna Pisarska. *Niech nie opadną w nas skrzydła*. Rec.: Leonarda Szubzda. *Galaktyka czterech ścian*. Sokółka [2024]. (Str. 52). • Tadeusz Dudek. *Nie ma różańca bez kolców... Komentarz do składanki poetyckiej*. Składanka: *Z różańcem przez życie – wiersze Podlaskich Poetów*. Portal „Poeci w sieci”, 7.10.2024. (Str. 52-53).

☐ **NOTKI.** Oprac. K. S. (Str. 53-62).

☐ **KSIĄŻKI.** Oprac. K. S. (Str. 63).

☐ **SATYRA** • Kazimierz Słomiński. *Galeria typów*. (Str. 64).

Autorzy tekstów zamieszczonych w 3/145/2024 numerze „Najprościej” w układzie alfabetycznym:

Józefa Drozdowska (Augustów), **Tadeusz Dudek** (Katowice), **Jolanta Maria Dzienis** (Białystok), **Wanda Dzierżyńska** (Białystok), **Katarzyna Grabowska** (Suraż), **Krystyna Gudel** (Suchowola), **Regina Kantarska-Koper** (Białystok), **Roman Kowalewicz** (Białystok), **Barbara Lachowicz** (Białystok), **Zbigniew Nowicki** (Białystok), **Joanna Pisarska** (Białystok), **Tadeusz Ruffiński** (Białystok), **Irena Słomińska** (Białystok), **Kazimierz Słomiński** (Białystok), **Regina Świtoń** (Knyszyn), **Marek Ustymowicz** (Krupniki), **Zofia Wróblewska** (Brańsk).

Wybór tekstów, opracowanie i przygotowanie do druku: **KAZIMIERZ SŁOMIŃSKI**.
 Wydawca: Nauczycielski Klub Literacki przy Zarządzie Okręgu Podlaskiego Związku Nauczycielstwa Polskiego w Białymstoku (15-034 Białystok, ul. Dobra 12).
 Druk: światłokopia ZO ZNP. Nakład 100 egz. Honorariów nie płacimy.
 Numer dostępny w całości na stronie internetowej Zarządu Okręgu Podlaskiego ZNP (pdf).

Grafika na str. 1: **Anna Ralicka-Perkowska** (Białystok).

Trzej kaci

*trzej kaci z darami honorowej śmierci
trzej kaci z poduszkami sławy wiór wiekuistych
brzęczących denarów zamiast belek krzyża
Jan Leończuk „Duszna Noc”*

Trzej królowie trzej kaci i znowu
mną zapłonął krzyż zapalił go człowiek
o domniemanej bieli skóry wszelkiej bieli
przeciwstawionej wszelkiej czerni tego świata
a Chrystus już na rozdrożu pojęć manowcach modlitwy

Żyjemy świat wciąż zmienia oblicza
czarne białe naprzemiennie nakładają się na siebie barwy
oślepiło oko gdy igrają światła atakują bolą
i nic jest bez barwy i wszystko stało się powietrzem
brakiem powietrza przezroczyste
nicość podpełzła pod próg świętej kołyski

Zamieniamy tasujemy karty trzej królowie trzej kaci
złoto kadzidło mirra – srebrniki honor sława
sypie się nam w klepsydrze pustynia odwracasz naczynie
czas staje się bezczasem kiedy go zbyt dużo
dopada nas zza węgła zawsze w kominiarce

Znaki – słońca czarna dziura wpadły w nią planety
Ziemia jest już niepewna siebie znerwicowana zapada się
zapada na depresję próbują ją leczyć w psychiatryku
w salach bez klamek lekarze-kosmici zakładają maski
święty obraz wirusów tak małe że aż ich nie widać
staje się horyzontem
czy to horyzont czy już
tylko ornament?

Żalnik

*a ja w środku nocy
nie wskrzeszony
samobójczo biorę słowa*
Jan Leończuk

Dzisiaj
znów „Żalnik”
przełamują się cienie
mój – twój lament
mój – twój
święty nieświęty zaśpiew
i gorzko-syłe żale
posypują popiołem głowę
mojej rzeczywistości (lata 20-te
21 wieku)

Wróciłam po „Żalnik”
jak po książkę do nabożeństwa
żeby sprawdzić jak i dlaczego
się rozpadłam
jak i dlaczego rozbiły się moje lustra
odłamek lodu szklany
zranił człowieczeństwo

A przecież we śnie się stawałam
słodko chłopsko wiejska (zielony azyl
złudzenia że świat nie pęka)
„Żalnik” kiedyś zebrał okruchy szkła
w płacz
w mój jakże dzisiejszy płacz

Kolorowy ruchomy niestabilny niecały
obraz
absurd obrosły rzęsą słów
osaczył pod powiekami ukrył grozę
i żaden „Żalnik”
nie zdoła już wypowiedzieć
dnia

Ogień

W otwarte drzwiczki pieca patrzyłam
w ogień
i igrał ciepły sen zapalał świat
płomienny rumieniec pełzał
po policzkach wieczoru
szare kąty izby ożywały
cienie tych którzy odeszli w ciszę
był niebył zderzone wyraziście
w tańcu ognia
zachwycona płakałam
(po mnie choćby popiół)

Czerwono-rudo-pomarańczowo
oddychała izba
jej ożywiony obraz
którego centrum zapalało
mój wewnętrzny świt
myślałam tak płoną zorze niebo
natchnienie
co jak modlitwa

Ten żar mnie wskrzeszał
odradzał otwierał
jak drzwiczki pieca
ogień taniec życia
i wszystko stawało się możliwe
wskrzeszona dla mnie – dziecka
odwieczna baśń
byłam jej królową
kopciuszkiem żabą wróżką
i zdobywałam bezkresne terytoria
amazonka życia

Ten ogień –
a przecież małe drzwiczki pieca
okienko w którym siła
gorączkowy świat

Ciało

Nie wiercie ciału nawet niezawodne
zawsze was zawiedzie

Zaufałam mu uczyniłam powiernicą
i teraz w bezcielesnej sukieneczynie
igram z aniołkami na skraweczku nieba

A dałam mu ciepłe okłady z makijaży
troskę poświęcenie tabletek
ścieżek zdrowia i treningi duszy

Zrodziłam jego dzieci wypielegnowane ciała
z których potrzebami zmagam się do dziś

W eterycznych snach
wydobyłam głos z jego instrumentu –
erotyzm gorący napar z ziółek szczęścia
odczucie ciepło – zimno

Klimat ziemi spowodował rozrost
kwiatu paproci mego cielesnego ego

Oczarować nieść śmiało sztandar kobiecości
wypreparowane: pupę piersi usta
wszechwidzące oko wszechsłyszające ucho

Każdy jego mięsień poddałam tresurze
w świątyni siłowni
biegłam – tupot stóp w maseczce
pantofelków – do swojego nieba
w którym nie istnieję

Przetrwał tylko karłowaty dodatek do ciała
okaleczony duch

Drogi

Dlaczego mnie czytasz jak nie-swoje słowa
przecież na naszym skraweczku ziemi
wyrazy mamy wspólne
w nich różne drżenia niuanse rumieńce
bo dano nam nasze nierzetelne lustra

Nie rozpoznajemy w nich swoich twarzy
tak bardzo wyobraźnia zniekształca obraz
a słowa wysane z mlekiem matki
i łączą i dzielą
nasza mateczka mała ojczyzna
łata nimi przykrótką sukienkę
porozumienia

Miej odwagę spojrzeć prosto w słowa
nie klucząc nie interpretując
jakby były własne
czy z nich też wyrosłaś?

Zaufaj mi memu wyobcowaniu ze słowa
i późniejszemu jego przytuleniu
zaufaj spoiwu które przecież scala świat
przynajmniej marzeniu

Ukołysz się w moim wierszu
zaśnij żeby się przebudzić i odkryć drogę
to nic że nie bywa wspólna

Zakodowaliśmy w sobie drogi
a teraz musimy się do nich przyznać

Ziarna

Pora żniw – gorączka lata rysuje w powietrzu
pamięć żniwiarzy ich portrety zetlałe:
kobietę pochyloną nad falą umarłych kłosów
padających na ściernisko za kosą śmigłą
i niedościgłą

Lśni ostrze błyska w słońcu unosi stylisko
ręka

jej taniec o miarowych krokach
I on bohater tej baśni o tworzeniu cudów:
słomy ziarna chleba
przewodnik na drodze bezkresnych
tak uległych łąnów
potem zrasza przestrzeń...

Portrety sentymentalne: wraca tylko pamięć
ulega przeobrażeniom kosę zastąpiła kosiarka
sznurek wiąże snopy żniwiarz ustawia je
w kopki

i w wyobraźni
stosy snopów spiętrza aż pod strop stodoły

Tak samo lecz jakby prościej umiejętniej

Gdy maszyna staje się nowym bogiem
praca modli się inaczej

Nadjeżdżają kombajny rodzą nadmiar ziarna
a ziarna wyobcowane tworzą mechaniczne
chleby

wyssano z nich duszę małą ojczyznę

I ziarna już nie znają granic ni kordonów
pogubiły pamięć

Bukiet

Zbieram uśmiechy – kwiaty ten czerwony mak
krzyknął do mnie wprost z gwarnej ulicy mego miasta
kobieta która rozwieszała swoje szczęście
delikatne intensywne musujące jak plakaty
na murze naszych serc na powietrzu oczu
w tej przestrzeni międzyludzkiej co zwykle nas dzieli

Samotny mak wyobcowany pośród nagiej ulicy
przywołał pole maków rozkołysane uczucia
roztańczone pod naszym wspólnym niebem

I mak uśmiechu błysnął w moim bukiecie
zamarł utrwalił wrażenie

Przebiśnig – uśmiech nieśmiało wyłonił się ze snu
dziecka które płynęło do mnie w wózek
gwarną rzeką chodnika za sterami matka
frasobliwa zaangażowana pracowicie w życie

I pamiętany uśmiech wrażenie kolorowo pachnąca
frezja gdy po raz pierwszy jękając się próbowałeś
powiedzieć Kocham do mnie czy też innej
właśnie odkrytej kobiety i miasto stało się zielone jak park

Uśmiech zdecydowanego pewnego siebie i swojego świata
mężczyzny nagle zbłąkitniał mieczyk i to w drodze
do pracy gdy potrącił... kogo? bezdomnego który był
Chrystusem

Tyle uśmiechów kwiatów zebrałam w bukiet serca
każdy inny własny wyrosły z nagle odkrytego
zapachu wrażenia na grządce
człowieczeństwa

Ciepło

Krajobraz sentymentalny: ścieżką serca
wracam do minionych wsi
prosta przestrzeń prosta mowa ludzie prości
kąty chaty w których zalegają cienie
praca pochyla sylwetki bliskich
bywa że wyprostowuje dusze
lecz nie zawsze
czasem trzeba ze zła
okadzić wnętrze i historię która je dotyka
Taki przejrzysty i nieprzejrzysty
sposób na życie rozumne i magiczne
boskie gdy zapalano gromnicę

Ludzkie wnętrze obrodziło w imiona
nadawane światu i innym także dzieciom
skrzaty domowe nie miały imion
po prostu były
zamiatały popiół sprzed pieca
warzyły marzenia w saganie ciszy
zostawionym na ogniu po to
żeby dojrzewała zupa

Dziś mówimy: klarowano wartość
jak owocowe galaretki

Minęły dni tamtych wartości
zasuszone
odkrywają je dziś moje ręce
ożywiają je – hafty na ręcznikach
na duszy pokoleń które przyjdą
i może kiedyś po nie wrócą

Pali się we mnie lampka odziedziczone ciepło

Na śmierć Jerzego Popieluszki – lament

Zbezczeszczono człowieka kapłana Boga
sponiewierano młodość nadzieję wiarę
ukrzyżowano naród
zmartwychwstał zapalił pochodnię

Płaczę nad pasterzem idącym pomiędzy trzody
owieczką zmierzającą pomiędzy wilki
kamieniem rzuconym na dno wód

Płaczę... jego cierpieniem wyścieliłam serce
by poczuło sprzysiężenie serc

Bo przecież jest coś więcej niż śmierć
coś więcej niż płacz
nie oddam ciosu zadanego w serce
nie podniosę ręki na oprawców
pójdę po tej wodzie w której utonąłeś
po przebaczenie moje twoje
dla tych którzy zwątpili w nasze człowieczeństwo
i znów podpalają świat

Płaczę
łzy spadają na sznur którym cię skrupowano
na więzy nałożone na ręce
które próbują ocalić

W okienku życia

Niemowlę w okienku życia darujmy mu
harmonijny świat pomieszane deszcz ze słońcem
i grad i śnieg które pastuszek wiatr wygwizdał
na piszczalce – jego melodię

Wymijmy go z bezdusznych ścian połamanych perspektyw
pozwólmy wzlecieć nad podarowaną mu skakanką życia
przyjmijmy w swe ramiona my ludzie nie marionetki

Oszczędźmy mu wojen cierpienie przyjdzie samo
cicho zapuka do drzwi i wtedy niech się oprze
o nadzieję święconkę wielkanocną gesty słowa

Niech nauczy się alfabetu ludzkiej wiedzy
dojrzeje i spadnie na ziemię jak dany nam owoc

Przymierzy się do życia szczęścia rozczarowań śmierci
w ubranku skrojonym na miarę przez swojego krawca

Niech nie zaśnie nad urną przy wyborze sumień
i wszelka władza niech mu nie upije ducha

To nieprawda że okienka życia zawężają
dziś betonową wizję świata potencjał człowieka
jeszcze nas zaskoczy

Tak wiele

Słowa jak ważki przemierzają przestrzeń powietrza
ich skrzydełka furkocą mienią się w słońcu
ruchem zgarniają migocącą przestrzeń swego ulotnego
lotnego istnienia – mnie mój wiersz moją tęczę

Daj mi Boże skrzydła prosiłam a dałeś mi słowa
ważki których nie mogę pochwycić zmienne tańczą
taki ulotny sens biegnę zdyszana w niebo
w siebie niespełniona z nadzieją że i mnie napelnisz
jak dzban poznaniem które zasiały ważki – słowa
a jest tylko poruszone powietrze mojego jestestwa

Boże dałeś tak wiele

Moje krajobrazy

Wyłaniam się ze swoich krajobrazów bo tak naprawdę
zawsze na swój sposób widziałam świat
najpierw w pieluszkach: taka siusiająca rzeczywistość
przynosiła smak matki ciepło przytulenia magię jej głosu
terkot grzechotki jej barwę gadające z oddalenia twarze
i bliskość horyzontu nie wiedziałam jeszcze
że zachodzi słońce i że horyzont trzeba zdobyć
choć się to nie uda

Wakacje – wyprawy nad Bug łowienie rybek imitacją wędki
biegnąca przestrzeń wiatr piasek plaży i słońce
„Po uczynkach ich poznać” – dobroć ciotki
i moja dziecięca agresja
próbowałam w lesie zastawiać wnyki z drutu
pełzło ku mnie moje nieświadome zło –
i pierwsza próba samookreślenia

Cierpienie przychodziło zniecka
najpierw drobnymi kroczkami
zbierałam je ciemne kwiaty mojej łąki
i jak przerywniki moje małe i wielkie miłości
ciepła przystań książka

Depresja przysłoniła niebo wypełził lęk
rozmógł się we mnie i już nie umiałam poznać
alfabetu samorealizacji
byłam ciszą przed burzą i ciszą po burzy sztylet wbity
w świadomość nie wywołał śmierci

Moje krajobrazy...
wyzwolił mnie krajobraz lasu

Pożegnanie

Żegnam cię, nie żegnając. Myślę: spotykamy się
teraz we wspólnej przestrzeni. Dusze drżą w wietrze,
który poruszył tkaninę kosmosu.
Odnalazły zapomniane drobiny, atomy materii
i światła, z jakich kiedyś zbudowaliśmy
swój eteryczny dom.
Załamaly się promienie, powierzchnie, my
w odkrytej właśnie czułości, w której choć cię nie ma
zapisał się ślad nietrwały. Przetrwał we mnie.
Biegnę za nim pewna, że nas pokochał
na zawsze.
I pożegnanie nie jest już nam potrzebne.

Irena Słomińska

* * *

*Jeśli poznam specyfikę własnej osobowości,
to znaczy gdy ostatecznie poznam siebie samego
we własnych ograniczeniach, otworzy się przede
mną możliwość uświadomienia sobie także tego,
co bezgraniczne.*

Carl Gustav Jung, *Wspomnienia, sny, myśli.*

kim jestem?

kształtem widzianym w szklanym zwierciadle
cielesną powłoką odbitą w lustrze cudzych oczu?

czuciem – od bólu po rozkosz – owego ciała
i czegoś więcej co wykracza poza nie?

umysłem z siedzibą w głowie a może w niebiesiech?
pod- nie- nad- świadomością JA i nie-JA?

wytworem rąk i płodem języka?

kim jest Ja
które mówi: **moje** ciało **moja** dusza

i dlaczego inni o sobie także mówią JA
przecież nie są mną

JA JESTEM imię Boga
czyżbyśmy byli wypustkami Stwórcy
Jego wystającymi cząstkami?

kim JA JESTEM?

Czarna Hańcza

Czemu czarna i głęboka
Czemu zimna – lodowata
Czemu jak róża utopiona
W toni

Czemu głębina śpi bezśmiertna
I trzyma niebo w swych objęciach
Gwiazdy tu topią swe odbicia
Słońce nieśmiało muska brzegi

Czemu tu stoję w toń wpatrzona
Nie sięgam dna – ani mnie ono
Dwie osobne wody – dwa słońca
Na granicy światów

Drzew wysokiej muzyki

Barbara Lachowicz

Tadeusz Dudek

Nasza dziergana czasem przyszłość

*Przeznaczenie dostarcza nam kanwę naszej przyszłości.
Od haftujących na niej zależy dobór rysunku i kolorów włóczki.*
Henry Graham Greene.

Niedawno w bliskim mi Ustroniu wydziergano restaurację,
a Voodoo Monkey (producent musu dla dzieci) promuje swój ostatni hit
– alkotubki. Sztuczna inteligencja wydała tomik poezji pod tytułem: „Mam moc,
by zakończyć twój świat” – owoc kreacji w tak zwanym kodzie otwartym, także
na dialog z twórczością uznanych poetów, takich jak Whitman i Wordsworth.
Z powodzeniem też wciela się w rolę Szatana na czacie, podpowiadając,

co robić, aby ludzie stracili wiarę. Pytanie takie zadał jej ksiądz.

Ponoć zastosowałyby subtelny takt i strategię, skupioną
na sianiu wątpliwości, braku nadziei i rozczarowania, promowałyby też
skrajny indywidualizm, światopogląd skupiony wyłącznie na „ja”. Nie ma niczego
większego nad nasze ego. Pojęcia prawdy, dobra i miłości to fikcja i zużyte archaizmy.
Nade wszystko trzeba mieć silną wolę i dążyć do poszerzenia własnej przestrzeni
wolności. Ja też w poezji zdaję się często podkreślać wolność twórczą,

muszę bardzo uważać, by nie stała się ona tylko

częścią mojej osobistej filozofii

winiarskiej.

Tadeusz Dudek

Smuga pożegnania

Powiedz, czy on cię kocha, będzie dla ciebie dobry,
uniesie cię na rękach jak ja?

Czy gotowa jesteś położyć swoją głowę na jego dłoni
tak ufnie jak wtedy, kiedy leżałaś na mojej
odkąd przyszałaś na świat?

Powiedz mi, skoro dziś nie przyjdiesz
na noc do domu i zostaniesz z nim na zawsze.

Teraz jesteś taka piękna, uśmiechnięta. Patrzysz z nim
na swój nowy horyzont, a może dalej. To dla ciebie jest
tej sukni biel i błękit nieba.

W twoich oczach widzę błogie szczęście,
a mnie rozdziera smuga pożegnania,
jakby coś się skończyło.

Drugi etap

To dziwne, ale młodzi zakochani początkowo nawet nie potrzebują się rozumieć.
Nie potrzebują, bo chcą drugiemu dać tak dużo siebie.

A kiedy już „ich” zabraknie, stają się coraz bardziej skąpi,
lodowacieją w sercach, pustynnieją w myślach.

Potem trwają obok tak długo jak się uda, aż odkryją,
że chcą rozmawiać i potrafią wybudować zrozumienie.

Odnajdą drogę przez piach miłosnej suszy. Zbudują łódź, co przepłynie
„dzikie fale” oceanu i znów będą tulić się po burzy.

Marek Ustymowicz

Katarzyna Grabowska

O NIEBO LŻEJSZA

Zamyka w objęciach
cały jej strach
wycisza drżenie membrany
przełknięcie staje się znowu możliwe
stopy gubią ciężar
jedno przytulenie
wystarczy
by odebrać czarną połowę lęku

KROPLA

Odnalazła się w górskim potoku
zimna i czysta
wierci się w spokojnym nurcie
skacze przez kamienie
opływa kłody
pieści kaczeńce mchy i wodorosty
dzieli się i łączy na nowo w życie
spadające wodospadem
w głębię

WIDZIMY TYLKO SIEBIE

Wysłałam naprzeciw krakowskim duchom
aniołom i demonom przemierzającym
wiekowe kamienice
matronom i buziom umorusanych dzieci
woźnicom i dżentelmenom
w przekrzywionych melonikach
szłam a obok podążał park
unosił szumną suknię pachnącą lipą
rozłożystą jak zielone płuca smoka
ujętą w palce latarni aby ominąć
zabłąkane tramwaje

stałam
zatrzymana przez mur turystów
rozdeptujących kocie łby
zagłuszających poetów i filozofów
strącających z tronu królów i królowe
z plecakami pełnymi pamiątek
trofeum i profanum
ślepi i chromi zapomnieli
jak dotykać prawdziwych pereł

TURBULENCJE

Skrzydła rozłożone są prosto
lecimy zgodnie z wyznaczonym kierunkiem
wokół nas niebo
z wszechobecnymi drogami
niewidoczne doły górki kamienie i trawy
trzęsą i wywołują gwałtowniejsze bicie serca
dziwne
jak nierówna potrafi być atmosfera
pod metalowym ptakiem

W POSZUKIWANIU ODWAGI

Pewna samotność
siadywała na hamaku
bujiała się w próżni
jak bańce mydlanej
zapisywała kolejną pustkę pamiętnika
na jednej z okratowanym stron
skreśliła wielkimi literami waleczne imię

DZIĘKUJĘ

Jestem wdzięczna
za najskromniejsze piękno
które dało się poczuć
dłoniom oczom uszom językowi
za wybarwiony liść
i odrodzony marcowy pąk
za szepty stuletniego dębu
i owoce passiflory
chylę czoła
przed siwiejącą łąką
i rozpalonym nadmorskim piaskiem
chodząc po rosie
po słońcu
po nocy
patrzę uważnie pod stopy
aby nie uśmiercić cudu

Katarzyna Grabowska

* * *

Połowa słońca albo księżyc
Piórko zagubione w gałęziach drzewa
Okruh piękna i wielość błogości
Wszystko jest ułudą
Przemija
Jak trzask migawki aparatu

* * *

Przeszłość – kilim utkany bolesnymi
wspomnieniami
Przyszłość – znika z horyzontu widzenia
Jest tylko terazniejszość malowana małymi
radościami
Z których buduję własną krainę

* * *

Na szybie okna
Trwa wyścig kropel deszczu
Smutno spuszczam głowę
Jak słonecznik tarczę
Razem
Tęsknimy za słońcem

BAŚŃ

Mała kotka
Która chodziła własnymi ścieżkami
Pewnego dnia spotkała
Czarodzieja
Teraz często drzemie zwinięta
na Jego ramieniu

NIEDZIELA

W ekumenicznym dialogu ulicy
Najpierw odzywają się dzwony kościoła
Później cerkwi
A może odwrotnie

SAMSARA

Życie to podróż
Z początkiem na końcu drogi
Umieramy
By znowu się narodzić
By znowu kogoś spotkać
I nazwać przyjacielem
Siostrą bratem matką
Albo ojcem
I tak do końca świata
Do połączenia z Absolutem
Nieskończoną Miłością
Siłą sprawczą wszystkiego

NIETYPOWA PROŚBA

Kiedy kończę rozmowę z Jezusem
Proszę Go by ucałował Rodziców
Przytulił moje psy i koty
I pozdrowił Buddę
Nietypowa prośba
Podyktowana nietypową wiarą

* * *

Drzewa i słońce
Przeglądają się nieśmiało
W kałużach na błyszczącym asfalcie
Jak w lustrach
To nie scenografia z baśni
Tylko zdjęcie ulicy Kasztanowej
Zrobione w pamięci i w sercu

* * *

Porozmawiajmy na tematy realne
Marzenia zostawmy na potem
Może spełnią się kiedyś TU
Albo dopiero TAM
Za metą ziemskiej wędrówki

OBSERWATOR

Pyzaty księżyc zagląda przez okno
Przygląda się galerii moich marzeń
A gdy zasnę
Przygląda się snom

ZDJĘCIE II

Opustoszałe molo
Zatopione w jeziorze
 Jak w marzeniu
 Żaglówka dla żartu
 Albo z samotności
Zaczepia błękit nieba swoim masztem
 I tylko wiatr – chuligan
 Mąci spokój
 Robiąc zmarszczki
 Na lustrzanej tafli

MUSZLA

Niebo i morze połączyły się ze sobą
 Tworząc bezkresny Wielki błękit
Na mokrym piasku leży mała muszla
 Niedocenione piękno
Dostępne na wyciągnięcie dłoni

MAMIE...

Przyśniłaś mi się dziś w nocy
 Byłaś w ogrodzie
 Z naszymi zwierzętami
Które odeszły na wieczne łowy.
 Czasem bezchmurną nocą
 Gwiazdy błyskają
 Niczym ich oczy
 W ciemnościach

WIERSZ ZIMOWY

Pusta ławka w parku czeka stęskniona
 Na zakochaną parę
Stylowe latarnie otulają ją światłem
 A płatki śniegu
Zaczepiają samotnych spacerowiczów

STYCZNIOWE NIEBO

Wczesnym rankiem czerwień ze złotem
 A biel z błękitem
 Splecione
W czułym nierozzerwalnym uścisku
 Tworzą abstrakcję na szybie
Dziękuję Ci Mrozie – sezonowy artysto
 Ż nauczyłeś mnie
 Patrzeć

CHWILA ZASTANOWIENIA

Z mgły wynurza się nagie drzewo
 Nie wiadomo
 Jaka to pora roku
 Późna jesień
 Wczesna zima
A może przedwiośnie?
 Niezmiennie
Najlepszą przyjaciółką mgły
 jest melancholia

ZMIERZCH

Osamotniony mlecz który stał się
 białym dmuchawcem
 Płonie w ostatnich promieniach
 zachodzącego słońca
Spokojnie oczekując zbliżającej się
 nocy

NOCNY WIDOK

Mroczniejsze od nocy
Egzystencjalne pytania
 Zadaje
Poeta malarz filozof
Człowiek zatopiony w blasku
 ulicznej latarni
I we własnych myślach
 Wszyscy Tworząc
 Znieczulamy się
 przed bólem istnienia

PYTANIA

Ścieżka pośród ukwieconych łąk
 Dokąd prowadzi
 Gdzie jest jej cel i kres
 Zduślam moją ciekawość
Bo chcę pozostać na tej polnej drodze
 W ostatnich promieniach słońca
 I krótkim stanie błogości

PALETA

Błękit nieba lub jeziora
Zieleń łąki
Albo liści
Biel śniegu i chmur
Czemu zamiast nich jest
Czerwień jak krew
Żółć i pomarańcz
Ogień i pożoga
Stal mundurów
Szarość pyłu
Czerń dymu
Tak łatwo przyzwyczailiśmy się
Do barw pokoju.
Nie traktujmy ich
jak oczywistość!

WYZNANIE WIARY

Kim jesteś dla mnie
Jezua – Jezu
Na pewno jesteś Zbawicielem
Każdego, kto w Ciebie wierzy
Ale dla mnie jesteś jak starszy Brat
Jak Przyjaciel
Czasem trudno mi iść Twoją drogą
A jeszcze trudniej powiedzieć szczerze
Bądź wola Twoja
Nie tylko w modlitwie

UŚMIECH

Rozpadało się nieśmiało
Słońce igra z kropelkami deszczu
Za chwilę niebo uśmiechnie się tęczą

BAŚŃ WIECZORNA

Joannie

Leśny elf
Z mgły i nocy zrodzony
Z tęsknoty za księżycem
Ukradł skrzydła ćmie
By polecieć w jego srebrny blask
Ale upadł na moje biurko jak Ikar
I zawstydzony patrzy na mnie
Może to sen...

SPACER BRZEGIEM MORZA

Izie

Łapiesz radość
I moment
Niczym cień na piasku
Zanurzasz się w nieskończoność
By odnaleźć spokój i szczęście
Idziesz pewnie i prosto w blask słońca
Które ogrzewa a nie oślepia
Ku swojemu Nieznanemu

WIDOK

Monice i Jej synowi Maxowi

Majowa zieleń
W dolinie
Pod pleciem z chmur
Góry spokojnie drzemią
Przed chwilą był tu Mały Książę
I zniknął
Jak zwykle ulotnie

* * *

Heniewi

Widokówka od Złotej Jesieni
Obraz, wspomnienie chwili
A na nim
Szmer krystalicznej wody
Przekomarzanie się kolorów liści
I młyn dostojnie na moment oniemiały

ZIMOWE NIEBO

Biel obłoków plami błękit nieba
Mocna kreska światła przecina je w pół
I róż rozlewa się po większej części
A słońce jak po równi pochyłej
Toczy się niżej i niżej
Wpadając w niewidoczną przepaść
Tak dzień żegna się ze światem

Z o f i a W r ó b l e w s k a

Z tomiku: Zofia Wróblewska. *Okruchy*.
Brańsk 2024.

K r y s t y n a G u d e l

Po rosie

wymykała się z pościeli
skoro świt
w rześkiej rosie sprawowała
poranną ablucję

bose stopy to lubiły

kryształowe drobiny
zmywały ból
samotnych nocy

ściskając w ręku perłowy
talizman odstraszała
markotność snów
powracający żal

granica jej tożsamości
była miedza
jak barwna krajka

obmyta rosą

K r y s t y n a G u d e l

J o a n n a P i s a r s k a

Potem

o świcie wybiegliśmy
schłodzić stopy
w trawie
pełnej rosy

która pałała
światłem pierwszych
słonecznych spojrzeń

i naszych
oczu

P o r a n n e p o ż e g n a n i a

pot pana paruje pod pachą
pani przeczesuje puszyste pukle

poprawia paznokcie
przywdziewa pareo
po prostu przepięknie

podaj papierosa prosi

przez pół poranka
próbuję palić

pewnie późno
powoli pójdę

pamiętaj

piano piano

N a m a r g i n e s i e m i ł o s i e r d z i a

*właściwy pojedynek Apollona
z Marsjaszem (...)
odbywa się pod wieczór
gdy jak już wiemy
sędziowie
przyznali zwycięstwo bogu
Zbigniew Herbert, Apollo i Marsjasz*

to walka we wnętrzu każdego z nas
balansowanie na granicy
ostrej jak brzytwa

między pięknem a okrucieństwem
miłością a unicestwieniem

zawahasz się i zostajesz
obdarty ze skóry
a kiedy zdaje ci się że jesteś bogiem
rozpływasz się w mit

tylko obmycie w krwi może nas przemienić
w siedlisko życia

J o a n n a P i s a r s k a

Regina Świtoń

Doznania

Życie to tylko drzwi uchylone na chwilę
Jan Leończuk

przelewa się oratorium nocy
wiatr na modlitwie przystanął
a ja
w prezbiterium ciszy
przez sito cierpienia przesiewam
nadzieję

drżą sploty poplątanych myśli
pod powiekami piasek
w sercu sól
a w łzach milczenie

bezsenną źrenicą błędzę
po „gościńcach” nieba
w ciemności zachwytach
szukam wciąż drogi
tej jedynej drogi

przeżarty rdzą czasu zegar
przyśpiesza

czy usłyszę Twój głos?

beznadziejność moja
oczekuje Twojej litości
Panie

Cytaty: Jan Leończuk „Doznania”

Regina Świtoń

Roman Kowalewicz

Jesteś

Pamięci Borysa Russko

Słowa otuliłeś swoim ciepłem
mądrością
podarowałeś swoją życzliwość
prostotę
pod którą czaiła się wielkość
geniuszu
ofiarowałeś serce
i tchnąłeś duszę
aby ożyły

odszedłeś
ale słowo świeci
swoim blaskiem
i pozostaje w sercach
czytających

żegnam Ciebie przyjacielu
również słowem

pozostała poezja
ona nie umiera
żyje
a Ty wraz z nią
w moim sercu

Roman Kowalewicz

Józefa Drozdowska

Na koncercie wiolonczelowym w Parku Herberta w Augustowie*

Roztańczyły się starowinki sosny
chmury pod lipcowym niebem niczym
ogromne białe motyle tylko patrzeć
jak zawiążą się w kokardy
na rozwianych włosach wiolonczelistek
Ptaki zamilkły w budkach
czasem słysząc jak bardziej rezolutne
postukują w deski u ich wylotów
A mnie zapatrzonej i zasłuchanej
w oczach tańczą zwrotki wierszy Poety
który tu niegdyś wieczorami śnił
widoki holenderskie z Delft z wiołą
da gamba opartą o ścianę salonu
z kimś grającym na wirginalu
bądź klawesynie i porzuconą na podłodze
wiolonczelą z cichym błaganiem o ręce
Patrząc na rzekę Schie idzie w myślach
z Janem Vermeerem ciemną uliczką
by podpatrzeć kobietę ważącą perły
W parku instrumenty wciąż tańczą w rytm
walców i menuetów a smyczki wyrrywając się
z rąk młodzieńców i dziewcząt
fruną wraz z dźwiękami nad Jezioro Białe
Widzę siedzącego Poetę moczącego w nim
nogi
upał niemożliwy więc nic mnie nie dziwi
chętnie bym się przysiadła ale nie mam
odwagi
Wiatr lipowiecki śpiewa z wiolonczelami
Serenadę Schuberta oklaski płoszą trzmielę
i pszczołę augustowską zwabioną muzyką
To już koniec koncertu ale nie koniec marzeń

** Wspominając koncert pt. „Roztańczona
Wiolonczela” zwieńczający XI Warsztaty
Wiolonczelowe, który miał miejsce 14 lipca
br. w Parku Herberta w augustowskiej
dzielnicy Lipowiec.*

Zawierszam zastożam* pamięć

Z krainy dzieciństwa do której
coraz mi dalej niż bliżej
słyszę przeciągłe prrr!
na zakręcie
i wio na polnym gościńcu
Z pamięci wylania się sznur sań

Tarcie płóz o śnieg wplata się
w stękanie i chrapanie koni
i niebo ścielące się im pod kopyta
Prr wio za olszynowym lasem
za „górami” z kartoflanymi dołami
za torfownikiem na połaci kliniku
pola w Turówce
Gdzieś od ojcowskich łąk na Świderku
latem pyszniących się soczystością traw
między Nettą a Sosnówką
Prr prr bo już stękają konie i popręgi
trzeszczą powrozy a pod powężami
granatowiejące niebo liże ściśnięte siano
I już kopią ludzie stogi
jeden drugi trzeci
A te przyciskane żerdziami do ziemi
obsiadane co chwilę przez wrony
i przedwieczorny zamróz
wierzgają na podłożu z łozin
jak narowiste konie
Pną się ku górze spalając swą energię
w łunie rozspanego słońca
Spieszą się chłopcy przed nocą
by przed zawieruchą zdążyć
je zawierszyć by zimą bydlu
ulżyć w głodzie
Zastożam i ja swoją pamięć
przygodą ze spotkanym wilkiem
gdy zjeżdżając nartami
pod którymś ze stogów
ujrzeliśmy z bratem
światełka jego oczu
Siedzę w kuchni pośród pól
z wciąż pachnącej dębiny
ściętej w lesie okalającym łąkę
i przewożonej niegdyś wraz z sianem
Z kubkiem herbaty w ręku
i tulącym się do kolan kotem
spoglądam w oczy ludziom i koniom
Pamięć biegnie w głąb wilczym tropem
dalej i coraz dalej
Zastożam ją by wciąż była jasna
jak na obrazach Claude’a Moneta
gdzie malowane przez artystę stogi
wciąż w świetle nieba mówią
o pięknym trwaniu
Na ustach wschodzi pytanie
jak jeszcze długo?

** Wyrażenia „zawierszyć” i „zastożyć”
podaje Zygmunt Gloger w Encyklopedii
staropolskiej przy haśle „Stóg”.*

Józefa Drozdowska

Wanda Dzierżyńska

Przed Nocą

Zawieszona między niebem a ziemią,
Otulona szalem smutku i tęsknoty,
W co zagrać mam na szachownicy życia
Tej nocy.
Nie mogę siebie odnaleźć
W czarnych chmurach nadziei,
Która umiera powoli.
Jestem milczeniem, pragnieniem,
Złością, nieporozumieniem.
Zanim w mroczną przestrzeń odleczę
I zniknę na zawsze
Pragnę jeszcze raz przeżyć
Radość, smutek, miłość i żal,
Aż czas wszystko zatrze
I wyśle w zapomnienie,
W wirtualną dal.

Wanda Dzierżyńska

- 4.08.2024. Spotkanie w Suchowoli. Turniej: *Po rosie*. Powstały wiersze: K. Gudel. *Po rosie*. J. Pisarska. *Potem*.
 - 15.09.2024. Turniej jednego wiersza: *Pożegnanie*. Wiersze: R. Kowalewicz. *Jesteś*. I. Słomińska. *Pożegnanie*. M. Ustymowicz. *Smuga pożegnania*.
 - 21.09.2024. II Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Franciszka Świąckiego. Wiersz: I. Słomińska. *Ciepło*.
 - 28.09.2024. IX Otwarty Konkurs Literacki im. Elżbiety Daniszewskiej w Knyszynie. Wiersze: I. Słomińska. *Ziarna; Tak wiele*.
 - Wiersze, które powstały w związku z trzecią edycją konkursu poetyckiego im. Jana Leończuka: I. Słomińska. *Trzej kaci; Żalnik*. R. Świtoń. *Doznania*.
 - 14.10.2024. X edycja konkursu literackiego SREBRO NIE ZŁOTO. Wiersze: K. Gudel. *Po rosie*. J. Drozdowska. *Zawierszam, zastożam pamięć*.
 - 20.10.2024. Turniej jednego wiersza: *Zrozumieć siebie*. Wiersze: W. Dzierżyńska. *Przed nocą*. R. Kantarska-Koper. **** kim jestem?...* J. Pisarska. *Poranne pożegnania*. M. Ustymowicz. *Drugi etap*.
 - Składanka: *W świecie cytatów Grahama Greena*. Portal „Poeci w sieci”, 25.10.2024. Wiersz: T. Dudek. *Nasza dziergana czasem przyszłość*.
 - Składanka: *Zainspirowana poezją Zbigniewa Herberta – wiersze Polskich Poetek współczesnych*. Portal „Poeci w sieci”, 29.10.2024. Wiersze: J. Drozdowska. *Na koncercie wiolonczelowym w Parku Herberta w Augustowie*. J. Pisarska. *Na marginesie miłosierdzia*.
 - Wiersze z VI Otwartego Konkursu Poetyckiego im. bł. ks. Jerzego Popiełuszki (rozstrzygnięty w Suchowoli 11.11.2024). I. Słomińska. *Na śmierć Jerzego Popiełuszki – lament; Bukiet; W okienku życia*.
-
-

NAZAJUTRZ

Czy zastanawialiście się kiedyś, jak smakuje woda? Zwykła, nawet ta prosto z kranu? Czy czuliście, jak cudownie chłodna spływa po wyschniętym gardle, zostawiając leciutki metaliczno-mineralny posmak? A gazowana? Czy zauważyliście, jak jej delikatne bąbelki skaczą po podniebieniu, uciekają nosem, prowokując do kichania? Nie? Ja też nie zwracałam uwagi na to, jak cudowna może być świadomość życia. Z jego smakami, woniami, często nieprzyjemnymi, przy których nos marszczy się ze wstrętem, z doznaniem dotykowymi i wzrokowymi, ze wszystkimi niuansami bycia tu i teraz. Dzisiaj czuję to całą sobą. Dzisiaj rozkoszuję się wszystkim, co dają mi zmysły. A wczoraj?

Wczorajszy dzień rozpoczął się zwyczajnie. Mąż wrócił po nocnej zmianie, ciut po szóstej, nakarmiłam go, ululałam do snu, dopilnowałam, żeby wyciszył telefon, a sama zagłębiłam się w najnowszej powieści Kinga. Cisza i spokój, rozkosz czasu tylko i wyłącznie do siebie. Sielankę przerwał charakterystyczny dźwięk telefonu. Każdy z moich bliskich lub ważnych w jakikolwiek sposób w moim życiu ma swój własny dzwonek. Dla teściowej przypisałam paskudny terkot starej kołatki. I to ona zakłóciła moją idyllę. Zignorowałam dwa dobijania się, przy trzecim, zrezygnowana, odebrałam. Z jazgotu, wydobywającego się ze słuchawki, wydobyłam pełne pretensji oskarżenia, że ją ignorujemy. Jej syn złośliwie nie odbiera, a ona ma ważną sprawę! Usiłowałam tłumaczyć, że mąż, zmęczony po pracy, śpi, ale moje wyjaśnienia tylko ją rozjuszyły. Wrzeszczała, żądając rozmowy z synem. Cóż robić, obudziłam męża, wtykając mu w rękę telefon. Półprzytomny słuchał, potem zwlókł się z łóżka i oznajmił, że jedziemy do Giżycka, żeby odebrać matkę z domu wypoczynkowego i przywieźć ją do Białegostoku. Ktoś, kto miał służyć jej za kierowcę, zachorował, a ona publicznymi środkami transportu jeździć nie zamierza.

Nie protestowałam, to nie miało sensu, nie po raz pierwszy humory i roszczenia teściowej zakłócały spokój w moim związku małżeńskim. Wyruszyliśmy w drogę mniej więcej pół godziny po odebraniu telefonu. Chciałam prowadzić, ale mąż stwierdził, że mimo zmęczenia potrafi być lepszym kierowcą niż ja.

Z początku jechaliśmy dość dynamicznie. Żadnych traktorów albo autobusów dalekobieżnych, blokujących drogę, tylko kilka tirów, które wyprzedziliśmy bez zbytecznego wysiłku. Ulubiona składanka muzyczna cicho pobrzmiwała, nuciliśmy na przemian, wtórując bardziej znanym kawałkom. Wydawać by się mogło, że ponaddwugodzinna trasa powinna nam minąć bez problemów, mimo śliskiej drogi po niedawnym, ulewnym deszczu. Byłoby nieomal idealnie, gdyby nie regularne terkoczące telefony od teściowej, domagającej się relacji z przemierzanej trasy. Byłam co najmniej wkurzona, ale nie komentowałam, żeby nie denerwować męża. No cóż, dzień prawie jak co dzień.

W pewnym momencie drogi, między dwiema miejscowościami, rozdzielonymi gęstym lasem, znaleźliśmy się na końcu wolno jadącej kolumny ponad dwudziestu samochodów. Jak się później okazało, był to kondukt pogrzebowy. Pojazdy jadące z naprzeciwka uniemożliwiały jakiegokolwiek wyprzedzanie. W momentach, gdy na to pozwalały poziome znaki na drodze, a przeciwny pas wydawał się w miarę pusty, mąż, poganiany terkoczącym dzwonkiem telefonu, próbował przyspieszyć i mimo wszystko wyskoczyć do przodu. Raz po raz wysuwał przód samochodu w lewo i się cofał, gdyż warunki zmieniały się dynamicznie. Aż w końcu, na dłuższej prostej, gdy nie widać było żadnych samochodów na horyzoncie, zaryzykował i zaczął gwałtowne wyprzedzanie. Gdy już dwa czy trzy pojazdy zostały w tyle za nami, z kolumny, tuż przed naszym nosem, wyskoczył zielonkawy mercedes z żółtymi tablicami, blokując nam drogę! Żeby go nie stuknąć, mąż hamował gwałtownie, usiłując wyminąć go na lewym poboczu. Wpadliśmy w poślizg, nasz samochód obróciło kilkakrotnie i impet rzucił go w las porastający tę stronę szosy. Lecieliśmy w powietrzu, jakimś cudem tylko ocierając się o migające drzewa, wyrwijące boczne lusterka, a potem ciężko lądowaliśmy, zatrzymując się gwałtownie na starej brzozie. Podczas tego zdarzenia

poza wszelką kontrolą nie przelatywało mi przed oczami całe życie, czułam tylko bezbrzeżne zdumienie – że to już koniec? Tak po prostu?

Na chwilę chyba straciłam przytomność, bo gdy otworzyłam oczy, silnik nie pracował, męża w samochodzie nie było. Przed moim rozkrwawionym nosem chwiały się gałązki brzozy, które przebiły roztrzaskaną w drobny mak przednią szybę. Chciałam się poruszyć, ale nie mogłam. Byłam cała sparalizowana. Że to tylko szok, przekonałam się za chwilę, gdy mąż pojawił się znikąd, wyrwał drzwi z mojej strony i wrzasnął:

– Co tak siedzisz! Wyłaż, ten samochód dalej nie pojedzie!

Czułam, jak powoli czucie w ciele wraca, poruszyłam z początku głową, potem rękami, na końcu zareagowały nogi. Wygramoliłam się z samochodu i wolno osunęłam się na mech. Nawet nie zdziwiłam się, że poduszka powietrzna nie wystrzeliła. Dzięki temu nie miałam popękanych żeber, tylko pasy bezpieczeństwa zostawiły swój siny ślad. Prawie na czworakach doczołgałam się na pobocze, usiadłam, opierając się o betonowy słupek. W międzyczasie, gdy ja dochodziłam do siebie, ludzie z konduktu zadzwonili po policję i pomoc drogową.

Pierwsza przyjechała policja. Funkcjonariusze robili swoje. Oglądali, mierzyli, zadawali pytania. Nikt nie zapamiętał numerów rejestracyjnych zielonkawego mercedesa z żółtymi tablicami, który zwiął z miejsca wypadku. Notabene, nigdy go nie znaleziono. To nie amerykański film kryminalny, gdzie sprawiedliwości staje się zadość, to polska przaśna rzeczywistość. Gdy śledczy kończyli czynności, nadjechała pomoc drogową.

Siedząc ciągle pod betonowym słupkiem, przyglądałam się, jak wciągają nasz samochód, a raczej to, co z niego zostało, na platformę załadunkową. Cały czas oddychałam głęboko, łapczywie łykając powietrze. Docierały do mnie dźwięki lasu, wiatru, szosy, czułam zapachy, osaczające mnie zewsząd. Były prawie dotykalne, cudownie wspaniałe, jedyne i niepowtarzalne. Podziwiałam obłoki na niebie, przybierające nieprawdopodobne kształty. Postanowiłam leniwie, że JUTRO, które nadejdzie i dla mnie, założę klub łowców chmur.

Kiedy wrak został załadowany na lawetę, z lasu wyszło dwóch grzybiarzy. Postawili kosze pełne zielonek w trawie pobocza i podeszli do pojazdu pomocy drogowej. Z ciekawością obejrzeni dokładnie efekty wypadku. Jeden z nich zapytał gapiów, zgromadzonych wokół:

– Czy ktoś z tego wyszedł żywy?

Jolanta Maria Dzieńis

Zbigniew Nowicki

DEWOCI

*Przestrzegam katolików przed płytką dewocyjnością.
Z pism błogosławionego kard. Stefana Wyszyńskiego.
Komańcza – lata pięćdziesiąte.*

*W Polsce nie ma religijności, w Polsce jest dewocja.
Prof. Zbigniew Mikołajko – religioznawca.*

Polichromiusz Tercjusz Nabzdyczał (imieniny 6 i 8 grudnia) przyspieszył kroku, mimo że nie było to łatwe i kosztowało go sporo dodatkowego wysiłku. Polichromiusz był już człowiekiem leciwym, a oprócz tego dawało mu się we znaki zwyrodnienie stawów biodrowych, które zmusiło go do korzystania z laski.

Zbliżała się siódma rano, o której to godzinie rozpoczynała się codzienna msza święta. Mężczyzna nie opuścił żadnej z nich od kilkadziesiątu lat. Nie mógł też sobie pozwolić nawet choćby na najmniejsze spóźnienie. Nigdy by sobie tego nie wybaczył. Nie wybaczyłby mu tego

również Pan Bóg, który, jak to sobie Polichromiusz Tercjusz wierzył, jest surowy i srogi, i który, jak go uczono na lekcjach religii, za dobre wynagradza, a za złe karze. Gdyby opuścił choć jedną mszę świętą, nigdy by sobie tego nie darował, a grzech ten, ciężki, który położyłby się nieznośnym brzemieniem na jego sumieniu, musiałby ciężko odpokutować. Polichromiusz miał dojmującą świadomość, że Pan Bóg obserwuje wszelkie jego potknięcia i dlatego jako dobry katolik i prawdziwy Polak musi cały czas się pilnować i niczym nie może Boga obrazić.

Podczas każdej mszy świętej Polichromiusz przystępował do komunii świętej. Nie wyobrażał sobie nawet, że mógłby zrezygnować z Eucharystii. Tym razem miał jednak dylemat: czy wolno przyjmować komunię do ręki z powodu pandemii, czy jednak tradycyjnie do ust. Co prawda episkopat zaleca ze względów bezpieczeństwa przyjmować na rękę, potwierdził to nawet w wystąpieniu telewizyjnym przewodniczący arcybiskup Stanisław Gądecki, ale z drugiej strony ksiądz profesor Tadeusz Guz z KUL-u stwierdził, że Pan Bóg nie zsyła wirusa, a ręce kapłanów są konsekrowane, więc można przyjąć do ust, a wszelkie obawy są nieuzasadnione i świadczą o małej i słabej wierze. Z kolei arcybiskup Pec powiedział, że wszelkie ograniczenia i obostrzenia są zamachem na wiarę katolicką, więc prawdziwy Polak i katolik, a nasz bohater przecież taki był, do nich się nie stosuje.

Jeden ze znajomych Polichromiusza Tercjusza przekonywał go nawet niedawno, że msza święta sprawowana po polsku w myśl ustaleń II Soboru Watykańskiego jest nieważna, że trzeba brać udział tylko w mszach według rytu rzymskiego, po łacinie, w czasie której ksiądz stoi tyłem do wiernych, bo szatanek nie śpi i czyha zewsząd. Prawdziwy Polak i katolik wystrzega się nowinek posoborowych, nie boi się przyjmować komunii do ust oraz nie musi nosić maseczki, bo Pan Bóg go chroni. Wchodząc zaś do kościoła, żegna się wodą święconą, nie bojąc się zarażenia. Znajomy namawiał Tercjusza bardzo gorąco i żarliwie, a w jego oczach płonął prawdziwy fanatyzm, do udziału we mszach według rytu trydenckiego.

Miał więc Polichromiusz Tercjusz, jak już się rzekło, nie lada dylemat. Komu wierzyć, żeby nie popełnić grzechu ciężkiego. To pytanie zawieszono w próżni bardzo pobożnego mężczyźną męczyło.

Idąc do kościoła przechodził obok domów swoich sąsiadów. Niektórych znał od dawna, niemal od dziecka, innych krócej. O wszystkich miał wyrobioną opinię. Jednych cenił i poważał, szczególnie tych, tak jak on religijnych i wychowanych w wierze katolickiej i przestrzegających tradycji, innymi pogardzał i lekceważył. Z takimi nie utrzymywał żadnych kontaktów. Przez myśl mu nawet nigdy nie przeszło, że odpłacają mu tą samą monetą, uważając za nieszkodliwego, nawiedzonego wariata.

W murowanym, dość okazałym, wybudowanym w latach pięćdziesiątych domu, który Polichromiusz miał w swojej wędrownicy do kościoła, mieszkała Ermentua Tertulia Niemyślak (imieniny 29 kwietnia) kobieta ponad sześćdziesięcioletnia, niezwykle religijna, którą Nabzdyczał bardzo cenił. Szczególnie był wdzięczny rodzicom sąsiadki, osobom równie religijnym, którzy nowo narodzonemu dziecku na drugie imię dali rzadkie Tertulia, żeńską formę imienia Tertulian, a przecież wszyscy katolicy wiedzą, że Tertulian był jednym z ojców Kościoła. Nie przeszkadzało Polichromiuszowi, że Ermentua Tertulia była osobą lekko dziwaczną, zachowywała się niekonwencjonalnie, a nieraz bywało, że stawała się obiektem kpin i, mówiąc potocznie, obiektem podśmiewówek, szczególnie wtedy, gdy latem rozedrganym krokiem z lekkością motyla wbiegała do kościoła, jak zawsze spóźniona, w spódniczce mini, eksponując swoje chude i krzywe nogi, powleczone mocno już pomarszczoną starczą skórą.

Podążając w kierunku ołtarza, aby zająć przed nim swoje stałe miejsce, podrygiwała idąc, jednocześnie kłaniając się na prawo i lewo i rozsyłając wszystkim urocze całusy. Nie dostrzegała przy tym ironicznych uśmiechów, które pojawiały się na wielu twarzach obecnych na mszy wiernych.

Bohater mego opowiadania przechodził również obok względnie nowego domu starszego małżeństwa, a właściwie określenie starszego jest bardzo nieprecyzyjne, raczej małżeństwa w średnim wieku, bo pięćdziesięciolatek.

Ożarna i Żelimysł Rozkrutowie (oboje obchodzą imieniny tego samego dnia – 27 kwietnia) podobnie jak Polichromiusz nie opuścili nigdy żadnej mszy świętej. Należy dodać, że Żelimysł

z zawodu inżynier elektronik, codziennie przystępował do komunii, przyjmując ją zawsze do ust, bez względu na pandemię.

Kiedy podczas jednej z mszy nasz proboszcz Maciej, który tego dnia przewodniczył liturgii, zwrócił mu delikatnie uwagę, że może jednak w obecnej sytuacji roztropniej byłoby przyjąć Eucharystię na rękę, Żelimysł wielce się oburzył, czemu dał wyraz w głośnym proteście.

Niektórzy z obecnych tego dnia w kościele mówili nawet, że pod wpływem silnego wzburzenia użył kilku wyrazów uważanych kiedyś za nieparlamentarne, a które dzisiaj spowszedniały i bywają używane przez niektórych w charakterze przecinków. Ale kto by tam wierzył złośliwym i nienawistnym plotkarzom. Osobiście trudno mi uwierzyć, że tak zacny i pobożny człowiek jak Żelimysł mógłby zachować się w sposób tak niegodny.

Gdy Polichromiusz Tercjusz przechodził obok domu kolejnego sąsiada, niejakiego Zibiego, pacykarza i niewydarzonego literata, autora grafomańskich opowiadań, poczuł, jak poziom adrenaliny w nim wzrasta i podnosi ciśnienie. Jednocześnie ohyda wstrząsnęła jego ciałem, jakby powiedział Jerzy Pilch.

Zibi na każdym kroku manifestuje swój brak poszanowania dla tradycji i wiary przodków, pyszni się swoją niewiarą i ateizmem, kpiąc i wyśmiewając osoby religijne, które przecież zasługują na najwyższy szacunek.

Polichromiusz Tercjusz, jako człowiek starszy, pamięta dobrze babkę Zibiego, kobietę ząną i wielce pobożną, z którą ten godny potępienia bezbożnik toczył przez wiele lat religijną wojnę domową. Mimo wysiłków Placydy Longiny (imieniny 15 marca), bo takie imiona nosiła pobożna kobieta, Zibi nie zrezygnował ze swojej zatwardziałej postawy i wszystkie wysiłki zmiękczenia jego serca zamkniętego na Jezusa Chrystusa spelzły na niczym. Babka Zibiego była kobietą twardą, bezkompromisową z tzw. charakterem. Nieraz nie przebierała w słowach, zwracając się do wnuka w sposób mało wyrafinowany, za to mocno i dosadnie. Jak wielu fanatyków religijnych pozbawiona była delikatności, empatii i wyrozumiałości dla ludzkich słabości. Za to cechował ją rygorystyczny moralny. Ustawicznie nazywała go heretykiem i na każdym kroku przypominała, że żyje jak bydlak, bez Boga. W ten sposób skutecznie zniechęciła go do religii.

Polichromiusz Tercjusz z sentymentem wspominał tę wspaniałą strażniczkę naszej wiary, która już od lat spoczywa w Panu na naszym osiedlowym cmentarzu.

Równie ciepłe uczucia w sercu Polichromiusza budziła również kolejna sąsiadka, której dom, dość okazały i piękny, mijał. Celia Ergantyna Nakręcał (imieniny 20 marca) słyęła na całej naszej ulicy ze swojej religijności i przywiązania do Kościoła. Jako kobieta zamożna (mąż jest przedsiębiorcą posiadającym własną firmę remontowo-budowlaną) do świątyni przychodziła zawsze elegancko ubrana, wykwintną konfekcją okryta, jakby powiedział Jeremi Przybora, budząc podziw i uznanie u jednych, a zawiść u innych. Tych drugich było więcej.

Polichromiusz przyznawał w duchu, że czasami zrażał go wybuchowy charakter Celi Ergantyny, która nieraz potrafiła zachować się jak Magda Gessler i nie przebierała w słowach, ale kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem. Nawet święci nie byli pozbawieni wad, cóż dopiero mówić o zwykłym człowieku.

Polichromiusz Tercjusz powoli zbliżał się do świątyni pańskiej, która stała na skrzyżowaniu naszej ulicy z sąsiednią, przy której znajduje się najbardziej popularny w naszej dzielnicy spożywczy supermarket.

Stary Nabzdyczał w takiej chwili zawsze odczuwał lekkie podniecenie na myśl o bliskim spotkaniu z Panem oraz na myśl, że za chwilę dostąpi zaszczytu spożycia ciała Chrystusa. Nie mógł się też doczekać modlitwy nazywanej spoczynkiem w Duchu Świętym, którą Polichromiusz Tercjusz szczególnie cenił, bo nieraz będąc w ekstazie, jak św. Teresa Lorenza Berniniego, tracił przytomność, a po powrocie do rzeczywistości czuł się jak nowo narodzony.

Polichromiusz Tercjusz Nabzdyczał miał świadomość, że jego życie zbliża się już powoli do końca. Miał też świadomość, że jako prawdziwy Polak i katolik przeżył je godnie, wierząc i modląc się oraz pokładając nadzieje w Panu i ufając Bogu bezgranicznie, bez którego życie ludzkie jest puste i pozbawione jakiegokolwiek sensu. Tak uważał i to z pełnym przekonaniem.

Zbigniew Nowicki

STÓŁ

Motto: *W każdej wędrówce dobrze jest zatrzymać się na chwilę i obejrzeć wstecz.*

Wspomnienia są niczym stare przezrocza, zamglone, porysowane, wyblakłe. Niekiedy trudno je umiejscowić w czasie i przestrzeni, ale są i stanowią realne świadectwo minionego czasu. Gdy odpowiednio długo skupić na nich uwagę, ożywają, nabierają barw i kontrastów. Z czasem na obrazy nakładają się dźwięki i zapachy. Pojedyncze sceny łączą się, przenikają, pojawiają się nowe skojarzenia. Dobrze jest tak czasem móc wrócić lub przynajmniej zatrzymać się i popatrzeć wstecz, za siebie.

To będzie opowiadanie o tym, jak pamięć odtwarza minione czasy. O tym, jak fragmenty wspomnień przekształcają się i jak rozrastają niczym lodowe wzory na szybie. Jak nabierają wyrazistości i jak łączą się ze sobą niczym puzzle. O tym, że wystarczy znaleźć to coś, co będzie jądrem kondensacji, kładką umożliwiającą powrót do przeszłości. Często wystarczy jakiś dźwięk, zapach, obraz na starej fotografii lub słowo. Tym razem tym magicznym słowem – symbolem niech będzie STÓŁ.

Stół w moich wspomnieniach jest najważniejszym elementem mieszkania, to miejsce każdego rodzinnego i towarzyskiego spotkania. Stół tworzył rytualny krąg, w którym toczyła się każda wizyta, każda narada i dyskusja. Przy stole świętowało się i smuciło, omawiało wydarzenia polityczne i ustalało plany następnego dnia, przy nim odrabiano lekcje i bawiono. Przy stole babcia czytała bajki, szydełkowała i modliła się z książeczki. Stół w pokoju zawsze zajmował główne, centralne miejsce, nad stołem zawsze wisiała lampa, a na nim musiał leżeć biały wykrochmalony obrus lub koronkowa serweta. W moich wspomnieniach stół definiował nazwę pomieszczenia, które oczywiście było pokojem stołowym. Stół zawsze był najbardziej solidnym i funkcjonalnym meblem. Bywał okrągły, owalny, kwadratowy lub prostokątny, ale zawsze był niezbędnym, po prostu bez stołu nie było domu.

To opowiadanie będzie o różnych stołach, o przemijaniu ich symbolicznej funkcji i o życiu, które się wokół nich toczyło. A jednocześnie chciałbym, aby to opowiadanie dla kogoś, kto będzie je czytał, było po prostu białą, poliniowaną kartką, na której dopisze własne wspomnienia.

Gdy staram się sięgnąć pamięcią jak najgłębiej w przeszłość, to pierwsze własne wspomnienia pojawiają się w czasach, gdy miałem około czterech lat. Jak przez mgłę widzę jakieś fragmenty życia w Grabownicy, budynek leśniczówki w sadzie, rozległe pola i ciemny las na horyzoncie. I więcej nic, żadnych mebli, żadnych przygód, poza wspomnieniem stołu!

Wielki, ciemnobrązowy, prawie czarny, z grubymi toczonymi nogami. Zależnie od potrzeb można było rozsuwać go na jedną, dwie lub trzy deski. Jego największą atrakcją, z perspektywy brzdąca sięgającego wzrokiem niewiele ponad jego politurowany blat, była tajemnicza konstrukcja, złożona z czterech ozdobnych wsporników w środkowej części. Do dziś nie potrafię domyślić się roli tych długich na pół metra, rzeźbionych drążków zakończonych miedzianymi, błyszczącymi kapturkami. Wtedy, przed blisko 60-ciu laty największą radość sprawiało włożenie pod stół, wyjęcie drążków i schowanie ich w niebywale tajemniczym miejscu. I potem rodzinne poszukiwania. Raz w trakcie zabawy zginęła jedna ze „złotych” nasadek i dopiero po tygodniu znalazła się w długim bucie Taty – ale to chyba było już w naszym następnym miejscu zamieszkania?

Klarowne i realne obrazy bliższego i dalszego otoczenia stołu pochodzą dopiero z Ostrołki. To był koniec lat 40-tych. Mieszkaliśmy wtedy w dużym, murowanym, przedwojennym domu, na rogu ulicy Starosty Kosa. Na parterze obszerny salon z wyjściem na taras, kuchnia wraz ze spiżarką oraz dwa lub trzy pokoje biurowe nadleśnictwa z osobnym wejściem od ulicy. Stół oczywiście stał na środku salonu, pod zwisającym z sufitu mosiężnym żyrandolem. Trochę się uszkodził w czasie

przeprowadzki i trzeba było solidniej zamocować nogi oraz „moje” drążki. Na dłuższy czas skończyła się zabawa z ich wymowaniem, ale z wiekiem znalazłem i na to sposób.

Mieszkanie, jak je pamiętam, było naprawdę obszerne. Na parterze była jeszcze łazienka z ubikacją, a pod kuchnią piwnica. Na pierwszym piętrze podest schodów prowadził do drzwi balkonowych i dwóch sypialni oraz pokoju, który nosił nazwę garderoby i był wielce tajemniczym miejscem z przepastnymi szafami ubraniowymi, zapasowymi krzesłami, maszyną do szycia i stołem do prasowania. Garderoba była najlepszym miejscem do chowania się lub zabawy w tajemniczy świat bajek Andersena. Była także bokówka z szczotkami i półkami, na których składało się przeróżne rzeczy z gatunku „a może kiedyś się przyda”. Jeszcze wyżej, na drugim piętrze, mieszkał pan Stepnowski, w jednej osobie: woźny, stolarz, stróż nocny, palacz i złota rączka do wszelkich napraw i remontów. Tutaj mieściły się także pokoje gościnne dla leśniczych przyjeżdżających z terenu. Wyżej, pod samym dachem, był strych z tajemniczymi kuframi i skrzyniami. W rogu, obok jedyne okienka, stał stolik, a na nim ogromny, błyszczący pomimo warstwy kurzu, samowar. Przy kominie tłoczyły się wyplatane krzesła i stary fotel. Była też szafa z książkami, jakimiś służbowymi pismami i rocznikami przedwojennego Asa. W kącie, w dużych papierowych workach, wisały obsypane naftaliną kozuchy i szynel Taty. Jednak większą część strychu zajmowały grube sznury do wieszania bielizny. Jediną okazją do wejścia na strych było pranie. Wilgotną bieliznę w ogromnym koszu wynosiło się „na górę”. Pomagałem Mamie wycierać, te niżej wiszące, sznury i wieszać śliską od krochmalu pościel. Po dwóch, trzech dniach następną wyprawa z koszem. Suchą, aż skrzypiącą bieliznę zносиło się na dół do garderoby, wyciągało, a potem kropiło wodą, ciasno zwijało i maglowało. Maglownica to była długa na metr deska z rączką, zaopatrzona pod spodem w zębate wyłobienia oraz drewniany wałek. Bieliznę nakręcało się na wałek i „turlało” po stole, mocno przyciskając zębatą deską. A potem zaczynało się prasowanie. Żelazko było oczywiście na węgle, a do moich zadań należało rozdmuchiwanie żaru. Prasowanie odbywało się na specjalnym stole obciążonym grubą warstwą sukna. Wiek stołu łatwo było poznać po licznych czarnych i brązowych nadpaleniach. Te pierwsze były skutkiem węgielków wypadających przez otwory żelazka, te drugie to dowody zbyt długiego wyciągania i rozklejania wykrochmalonej pościeli. Jeszcze inny stół był w kuchni. Wielki, prostokątny, z blatem zbitym z solidnych całowych desek i równie grubą półką na garnki, patelnie, pokrywki itp. żelastwo. Do blatu, przykręcony na stałe, tkwił ręczny napęd centryfugi. No właśnie, co to jest centryfuga?

W Ostrołęce mieliśmy krowę. Nie mogę przypomnieć sobie ani jej obory, ani łąki, na której się pasła, ale na pewno była i nazywała się Mečka. Było też mleko, które każdego ranka zjawiało się w kuchni w dużej blaszanej bańce. Staralem się wstać na tyle wcześnie, aby uczestniczyć w jego wirowaniu.

Najpierw na stole odbywa się tajemniczy rytuał składania centryfugi. Na żeliwny korpus nakłada się skośne rynienki, mleczną i śmietanową, wewnątrz nakręca coś w rodzaju metalowego dzwonka i specjalnym kluczem łączy ze stołem kilkadziesiąt perforowanych blaszanych talerzyków. Na wierzchu tej konstrukcji osadza się ogromny toroidalny zbiornik. Na dnie zbiornika jest otwór zamknięty mosiężnym korkiem, osadzonym na długim zagiętym pręcie. Zawór ten pozwala na regulację ilości wirowanego mleka. Gdy centryfuga była już zmontowana, mogłem pokręcić korbą, a Babcia nasłuchiwała, czy w środku nic nie brzęczy ani nie zgrzyta. Gdy wszystko pasowało, z bańki napelniało się zbiornik, otwierało zawór, kręciło korbą i po chwili mogłem obserwować jak z jednej rurki tryska strumień mleka, a z drugiej oleście ciurka śmietana. Na kręcenie byłem za słaby, bowiem korbą centryfugi trzeba obracać przez kilkanaście minut, bez przerwy i ze stałą prędkością. Najczęściej to była rola Taty.

W kuchni obok stołu znajdował się jeszcze jeden nieznanym dzisiaj sprzęt – prasa do serów. Z wyglądu przypominała niską ławę z dużym prostokątnym otworem w środku. W otworze, jak skrzydła jakiegoś ogromnego motyla, tkwiły dwie rozchylone deski. Deski były podparte drewnianymi klinami, a pomiędzy nie wkładało się worek z serem do odciśnięcia. Stopniowo, wbijając kliny, ścisnęło się worek z zawartością, a serwatka ściekała do podstawionego wiaderka. Jak przygotowywało się mleko na ser – nie pamiętam. Robiła to zawsze Babcia, która potrafiła także zrobić serowe gomółki z kminkiem i serową posypkę (taki niby parmezan) i specjalny ser „zigliwiony”. To była żółta, ciekna masa, czuć ją było na drugiej stronie ulicy, nawet przy

zamkniętych oknach, a gustował w niej tylko Tato. Oprócz sera, przynajmniej raz w tygodniu, robiło się masło. Oczywiście, trzeba było nabierać co najmniej pięć litrów śmietany. W kącie kuchennej spiżarki stała maselnica – wysoka, stożkowata drewniana beczułka ze szczelnym drewnianym zamknięciem i bojką. Nie wiecie, co to bojka? To okrągła deseczka z kilkoma otworami, nasadzona na drążek. Drążek, dosyć szczelnie dopasowany jest do otworu w pokrywie maselnicy i można nim poruszać z góry na dół. Maselnicę przed użyciem trzeba było wyparzyć wrzątkiem i dobrze osuszyć. Następnie wlewało się śmietanę, zamykało i blisko godziny rytmicznie „biło”. Po prostu siedząc na ławie, z maselnicą między kolanami, uderzało się bojką aż do momentu, gdy jej zawartość zgęstniała, zamieniając się w grudki masła. Masło trzeba było przełożyć do glinianej dziezki, zalać zimną wodą i wyciskając łyżką odsączyć od maślanki. Następnie Babcia formowała zgrabne osełki, zawijała w szmatki nasączone chyba octem i chowała do spiżarki. Masło, które kupowało się na rynku, miało piękną, żółtokremową barwę, a nasze było po prostu białe. Dopiero później dowiedziałem się, że to efekt dodania odpowiedniej ilości tartej marchwi!

A tak przy okazji opowiadania o dawnych sprzętach domowych, czy wiecie, co to jest bezmian? Wisiało takowe urządzenie w kuchni na ścianie. Był to metalowy pręt z wytłoczoną podziałką, długi na metr, z jednej strony zakończony hakiem, a z drugiej ciężką kulą. Po pręcie przesuwiał się uchwyt, a całość służyła do ważenia różnych towarów. Był to praktyczny model dźwigni dwustronnej, o której za kilka lat będę uczył się w szkole. (Ważyło się wtedy w funtach i uncjach, a materiały kupowało się na łokcie.)

Na stole również robiło się mydło! Tak, to były czasy, gdy w sklepach wszystkiego brakowało, nawet zwykłego, szarego mydła. Nie pamiętam oczywiście szczegółowej receptury, ale do dziś czuję zapach łoju. Właśnie bydlęcy tłuszcz był podstawowym składnikiem do produkcji mydła. Żółte kawały łoju kupowało się na rynku w taniej jatce. W mydlarni, bo tak się nazywała ówczesna drogeria, trzeba było kupić sodę kaustyczną, szkło wodne, jakąś farbkę i proszek, który niby pachniał lawendą. Najgorszy był okres topienia łoju, pomimo otwartych na przestrzał kuchennych okien śmierdziało w całym domu. Roztopiony tłuszcz gotował się w specjalnym saganie z sodą i innymi dodatkami, aż zaczął gęstnieć. Potem półpłynną masę wylewało się na stolnicę wyłożoną pergaminem i przegrodzoną od przodu specjalną listwą. Mydło gęstniało kilka lub kilkanaście godzin, wtedy kroilo się je na kawałki przypominające miniaturowe cegielki. W tej fazie kawałki były jeszcze bardzo miękkie i kleiste, więc przez następne dni schły i twardniały, aż nabrały wyglądu i konsystencji burobrazowej gliny. Pamiętam, jak klocki tego mydła strugało się na jarzynowej tarce i dodawało do prania i gotowania bielizny. O właśnie, pranie to była, przynajmniej dla dzieci, atrakcja nieporównywalna do żadnego z dzisiejszych wydarzeń domowych. Duże pranie było przynajmniej raz w miesiącu i trwało jeden, a czasami nawet półtora dnia. Stół co prawda nie był przy tym zaangażowany, a jeśli tak, to tylko w tym, że obiad był „na chybcika”, w kłębach pary i mydlanych zapachów.

W dniu prania z komórki na środek kuchni wyjeżdżała wielka drewniana balia, pod nią stawał specjalny, szeroki, solidny taboret i metalowe wiadro. Na płycie kuchennej, w największym otworze po wyjęciu wszystkich fajerek, tkwił żeliwny sagan do grzania wody. Całe szczęście, że woda była na miejscu, to znaczy w kuchni była pompa.

Wspomnienia tworzą coś w rodzaju rozrastającego się drzewa, którego pień przekształca się w konary, te tworzą następne i następne rozgałęzienia, aż w końcu pojawiają się drobne gałązki i owoce. Takim „pamięciowym owocem” może być właśnie pompa – nie pamiętałem o niej w ogóle i dopiero teraz, gdy zastanawiałem się nad tym, skąd brało się wodę do prania, właśnie przypomniła mi się pompa. Widzę ją dokładnie, przymocowaną do ściany, w kącie obok okna. Długa drewniana dźwignia, dwa błyszczące, mosiężne cylindry i kilka rozchodzących się w różnych kierunkach rur.

Pompowanie wody to ciężka praca, a trzeba było codziennie napełnić wielki, zawieszony pod sufitem zbiornik, z którego rury rozprowadzały zimną wodę do kranów w kuchni i łazience. Tak więc sagan napełniało się kilkoma wiadrami wody i czekało, aż się zagotuje. Lało się potem gorącą i zimną wodę do balii, strugało mydło, dodawało sody i moczyło bieliznę, niekiedy całą noc. Przedtem było jeszcze wywracanie pościeli i wyciąganie z rogów kolorowych „kotów”, czyli strzępków pierza i waty wyłazących z poduszek i kołder. Rano namoczona pościel ładowała

w blaszanej wanience, a do balii Mama dolewała gorącej wody i dodawała mydła. Teraz zza stołu wyjmowało się blaszaną tarę i zaczynało się pranie właściwe. To była naprawdę mordęga, każdą sztukę bielizny Mama szorowała na tarze, nacierała mydłem i ponownie szorowała, a potem ręcznie wykręcała. Dopiero pod koniec naszego pobytu w Ostrołęce do kuchni trafiła wyżymaczka. Przykręcona do krawędzi balii znakomicie ułatwiała pracę, a ja miałem dodatkową uciechę, gdy mogłem oburącz pokręcić jej korbę i obserwować jak baloniasta poszewka zamienia się w cienki placek, a spod drewnianych wałków leją się strumienie wody. Zanim zjawiała się wyżymaczka, do moich zadań należała nader ważna i odpowiedzialna funkcja „spustowego”. W dniu balii był otwór, szczelnie zatknięty drewnianym kołkiem, a ja w odpowiednich momentach musiałem wyjmować ten kołek i wypuszczać brudną wodę do podstawionego wiadra. Nie zawsze strumień wody trafiał do wiadra, czasami nieco się przelało, ale to było normalne, że przy praniu cała kuchnia była mokra, pełna pary i „pachnąca” mydlinami. W międzyczasie można było puszczać mydlane bańki lub w wanience urządzać bitwę morską. Gdy odpowiednia porcja bielizny była uprana, następowało jej gotowanie. Ogromny kocioł miał wyprofilowane denko, które można było, po wyjęciu wszystkich fajerek, wpuścić w głąb paleniska. Wewnątrz wkładało się specjalną dziurkowaną blachę, która zabezpieczała jego zawartość przed przypaleniem. Bieliznę ładowało się do kotła, lało do pełna wody, dodawało struganego mydła i proszku, przykrywało blaszaną przykrywą i dokładało drzewa do paleniska. Kocioł parował i przyskałał bąblami piany, a co jakiś czas trzeba było zamieszać jego zawartość długim drągiem. Na rozpalonej, niekiedy do czerwoności, płycie kuchennej tańczyły krople wody, turlały się jak kuleczki rtęci, aż w końcu znikwały w obłoczkach pary. Po gotowaniu zawartość kotła trafiała ponownie do balii, dolewało się zimnej wody i każdą sztukę bielizny jeszcze raz szorowało na tarze i wykręcało. Potem było tzw. wykańczanie, czyli kilkakrotne płukanie i krochmalenie połączone z farbkowaniem w since, a w końcu pranie wędrowało na strych.

O strychu już było, więc pora na kilka zdań o ogrodzie. Ogród był na tyłach domu i schodziło się do niego z tarasu. Dziś pamiętam tylko inspekty, w których rosła wczesna sałata oraz rozsady pomidorów, ogórków i melonów. Przypominam sobie alejkę bzów i jaśminów, pod którymi mieszkały mrówki, ale najbardziej w pamięci utrwaliła się kupa kompostu w ogrodowym narożniku. Dlaczego akurat sarta kompostu – zaraz wyjaśnię. Nie pisałem o tym, że nasz ogród sąsiadował z budynkiem banku, który to bank był otoczony ceglany murem z rzędem kolczastych drutów na szczycie. Bawiłem się wtedy papierowym samolocikiem, który w pewnym momencie zaczepił się o ogrodzeniowe druty. Gdy wdrapałem się na wspomnianą przysięgę, mogłem kijem dotknąć do drutów i jak myślicie, co się stało?! Ano właśnie, na dachu banku zaczęła wyc syrena, rozległy się donośne dzwonki, przyjechała milicja. Przysłuchiwałem się temu wszystkiemu z należytym zachwytem do czasu, gdy skończyła się cała awantura i milicja z głośnym trzaskaniem drzwiami odjechała swoim gazikiem. Oczywiście, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że ogrodzenie było połączone z jakimiś czujnikami i mój kij uruchomił alarm. Samolocik nadal huśtał się na drutach, więc ponownie wlałem na przysięgę i szturchnąłem go kijem. Ten drugi alarm skończył się niewesoło, czy rodzice musieli zapłacić karę, tego nie wiem, ale było lanie, tygodniowy zakaz zabawy z kolegami i musiałem przyrzec, że już nigdy, nawet nie zbliżę się do bankowego muru. Jeśli chodzi o ogrodzenia, to nasze podwórko od ulicy Starosty Kosa odgradzał kamienny mur pokryty z wierzchu kawałkami zatopionego w betonie szkła. Leżąca pod ogrodzeniem sarta desek pozwalała, po wspięciu się na palce, wyglądać na ulicę oraz zerkać do klasztornej ogrodu rozciągającego się naprzeciw. Jak dziś widzę biały mur przykryty czerwoną dachówką, wąską klasztorną furtką, ceglane wieżyczki na rogach i przepiękne rabaty kwiatowe. Największe jednak wrażenie robiły drzewa owocowe, jesienią uginające się pod ciężarem dorodnych jabłek, śliwek i gruszek. Wiem, że koledzy z przedszkola zakradali się do tego sadu, czy ja także – tego nie pamiętam! Ta sarta desek pod murem stała się przyczyną rodzinnej tragedii. Mieliśmy wtedy ogromnego psa, wilczura, nazywał się Reks i mieszkał w budzie obok drewnutni. Wieczorem Tato zaczepiał koniec psiego łańcucha do długiego drutu rozciągniętego wzdłuż podwórka tak, aby w nocy Reks mógł pilnować całego obejścia. To był naprawdę duży pies i samym wyglądem budził należyty respekt. Któregoś wieczoru widocznie łańcuch nie był zaczepiony dość solidnie, bowiem Reks uwolnił się, przeskoczył po deskach przez ogrodzenie i z kawałkiem łańcucha pobiegł do miasta. Trzeba trafić, że natknął się na patrol żołnierzy, a ci, widocznie przestraszeni jego wielkością, zastrzelili go na ulicy. Najdziwniejsze było to, że Reks był nader przyjaźnie nastawiony

do wszelkich ludzi, a już szczególnie do ubranych w zielone mundury leśników, więc z pewnością nie zaatakował również na zielono ubranych żołnierzy – a może to byli milicjanci? Szkoda Rekса, potem już nigdy nie mieliśmy psa.

W tym momencie, z pamięciowego niebytu, pojawił się jeszcze jeden ostrołęcki epizod. Stoję z Rodzicami na balkonie, a po przeciwległej stronie, kilka domów od nas, płonie dwupiętrowy Dom Towarowy. Początkowo jest to tylko ogromna, czarna chmura dymu, który kotłuje się nad budynkiem i dochodzi aż do nas. Po chwili chmura robi się ruda, od dołu podświetlona karminem, a słup dymu wzbija się wysoko ponad miastem. Pożar przypomina wybuch wulkanu Krakatau, który niedawno oglądałem w jednym z numerów Asa. Na balkonie nie można wytrzymać od swądu i sypiącego się wokół kopcia. Chowamy się w domu i tylko przez zamknięte okno obserwujemy bezładną bieżącą przechodniów, a potem akcję strażaków. Z podziwem patrzę, jak rozstawiają drabiny, we czwórkę kiwają się przy czerwonej ręcznej pompie i przez grube węże leją wodę do okien. Pożar wkrótce ugaszono, ale jeszcze rankiem następnego dnia nad pogorzelskiem unosił się dym, a z gruzów można było wyciągnąć nadtopione łyżki, osmolone talerze i nawet całkiem dobry emaliowany garnek.

Następne wspomnienie utrwaliło się nie tyle w mojej pamięci, ile było wielokrotnie, przy lada jakiej okazji, opowiadane przez Mamę. Miało podobno świadczyć o mojej pomysłowości? Tato miał stary, przedwojenny rower. Jeździł nim na kontrole w pobliskich leśnictwach i gajówkach. Niekiedy zabierał mnie na te wyprawy. Siadałem wtedy na ramie owiniętej kocem i jechaliśmy, póki była droga, a potem Tato prowadził rower. Pokazywał mi różne drzewa, ślady zwierząt, a w gajówce bawiłem się z miejscowymi dziećmi. Ówczesne leśne drogi były wyboiste, pełne ostrych kamieni i rozmaitego powojennego żelastwa. Bardzo często w drodze lub po powrocie okazywało się, że w kole brak powietrza. Zawsze fascynowały mnie wszelkie remonty i naprawy. Łatanie dętki też było nader interesujące. Tato zdejmował koło, ściągał oponę, wyjmował dętkę i moczył ją w dużej misce. Po znalezieniu dziury następowało dopasowanie łąty, smarowanie klejem i kilkugodzinne suszenie. Któregoś razu po zakończeniu całej operacji, gdy Tato poszedł do biura, wziąłem nożyczki i... Wieczorem przy kolacji z dumą poinformowałem, że będziemy mieli jeszcze dużo zabawy z klejeniem.

Ostrołęka, jak wiadomo, leży nad Narwią. Rzeka w mojej pamięci utrwaliła się w trzech obrazach:

– Jest wczesna wiosna. Wracam wraz z kolegami z przedszkola. Nadkładamy trochę drogi, aby popatrzeć na rzekę. Narew rozlała się szeroko, zatopiła przybrzeżne łąki, a woda zaczyna przelewać się przez jezdnie ulicy prowadzącej w dół do drewnianego mostu. Na nadrzecznych łąkach leży jeszcze gruba warstwa zlodowaciałego śniegu, ale środkiem nurtu suną potężne kry piętrzące się na izbicach chroniących filary. Gdy ostrożnie wchodzę na most i staję obok bariery, czuję jak cała jezdnia wibruje i dygocze. Zerkam na rzekę płynącą zdaje się tuż pod nogami, ale widzę jedynie białą-szarą, najeżoną ostrymi szpicami płaszczyznę, sunącą wprost na mnie. Lód wygląda przerażająco, błękitno-czarne bloki wspinają się i przewalają w spienionej wodzie. Ogromne płyty klinują się pod mostem na drewnianych podporach, tworząc coraz wyższą zaporę. Od miasta nadbiega oddział wojska i przepędza wszystkich gapiów poza wysoki nadrzeczny wał. Po chwili nadjeżdża ciężarówka, z której żołnierze wynoszą ostrożnie zielone skrzynki i rozstawiają na całej długości mostu. Żołnierz z chorągiewką zatrzymuje ruch i rozkazuje wszystkim odejść jeszcze dalej od rzeki. Obserwujemy wszystko ostrożnie, wychylając się zza pnia ogromnej nadbrzeżnej wierzby. Żołnierze zakładają hełmy i na komendę rzucają do wody jakieś podłużne przedmioty. Rozlega się głuchy huk, fontanny wody z kawałkami lodu lecą w powietrze, a wszyscy gapie cofają się o kilkanaście metrów. Kanonada powtarza się co kilka minut, zator powoli zaczyna spływać, ale pod jednym z filarów, niedaleko brzegu zwały lodu spiętrzyły się prawie do poziomu jezdnia. Teraz grupa wojskowych, wychylając się przez barierę, ostrożnie opuszcza na linach drewnianą skrzyneczkę, ustawiają ją na zawale i wszyscy biegiem uciekają na brzeg. Grzmot, jakiego jeszcze nie było, cała lawina wody zalewa most, bryły lodu lecą daleko na ulicę, a my uciekamy do domu. Na następny dzień wszyscy mieszkańcy Ostrołęki jedzą ryby. Tyle ich ogłuszonych wybuchami płynęło z prądem, że rybacy nie nadążali wyciągać pełnych sieci. Wtedy chyba po raz pierwszy widziałem ogromnego suma, który ledwo mieścił się na kuchennym stole.

– Na Gwiazdkę dostałem pierwsze łyżwy. Takie figurowe, z zawiniętym przodem. Do ich mocowania na butach służą dwie pary zębatych łapek zaciskanych kwadratowym kluczem. Wraz z Rodzicami idziemy na nadrzeczne łąki, gdzie na rozlewiskach Narwi ślizgają się dziesiątki mieszkańców Ostrołęki. Niektórzy jeżdżą na samodzielnie wykonanych łyżwach, to po prostu kawałek deseczki podbitej stalowym drutem i przywiązanej sznurkami do buta. Inni mają łyżwy mocowane na „płastynki”, czyli blaszki z otworem przykręcone do obcasa, ale najczęściej chłopaków ślizga się po prostu na butach, sunąc niekiedy kilkadziesiąt metrów po wygładzonej tafli lodu. Mnie jakoś nie wychodzi, nogi rozjeżdżają się na boki, kilkakrotnie padam, aż w końcu rozbijam sobie nos i przez kilka tygodni nie daję namówić się na ponowną próbę. Na lód po raz drugi wychodzę chyba w końcu lutego. Tym razem jakoś mi się udaje przejechać w miarę prosto kilkadziesiąt metrów, a nawet zahamować przed kępą trawy wrośniętej w lód. Gdy zmęczony, ale zadowolony przysiadam na pniu zwalonej wierzby, mogę podziwiać pracę tzw. lodziarzy. Grubo odziani mężczyźni, w długich gumowych butach, najpierw wiercą w lodzie otwory. Potem przetykają przez nie koniec piły i klęcząc, tną grubą na kilkadziesiąt centymetrów tafłę, wycinając z niej więcej więcej półmetrowe bloki. Bosakami wyciągają je z wody i wloką po lodzie do stojących nieopodal wozów. Bloki na lorze układa się w warstwy przesypane trocinami i wywozi do lodowni, czyli składu, w którym lód ułożony w wysokie pryzmy i przykryty grubą powłoką trocin i drzewnych wiórów będzie czekał na letnie upały. To były czasy, gdy chyba nikt w Ostrołęce nie miał lodówki, a do chłodzenia żywności służył drobno potłuczony lód zmieszany z solą. Jeden czy dwa razy Mama zrobiła domowe lody z jajek, śmietany, cukru, wanilii i nie pamiętam czego jeszcze – może kakao? Dobrze natomiast pamiętam specjalne podwójne metalowe bańki, zanurzone w drewnianym cebrzyku pełnym solonego lodu. Bańki trzeba było kręcić przez kilka godzin w chłodnej piwnicy, mieszając ich zawartość, aby masa oziębiła się równomiernie i całość zgęstniała. Wspaniałe to były lody, już nigdy później takich nie jadłem. Oczywiście, po lód trzeba było wyprawić się do lodowni i przynieść do domu w torbie starannie zawinięty w grubą derkę.

– Jest czerwiec. Nad Narew chodzi się po niezapominajki. Ułożone w głębokim talerzu i przyciśnięte kamieniem wypełniają pokój specyficzną wonią i błękitnym kolorem nieba. Przed św. Janem do domu trafiają pęki tataraku, rozsypuje się go w kątach kuchni, która wtedy, według słów Babci, nabiera „rzecznej świeżości”, czyli zapachu wiatru, skoszonego siana i czegoś nieuchwytnego, czym pachniały nadnarwiańskie łąki. Zapach tataraku był znakiem, że wkrótce na rzece pojawią się tratwy. To było prawdziwe święto. Flisacy zazwyczaj zatrzymywali się na rozległych łęgach przed mostem. Cumowali długi na kilkaset metrów sznur tratw do nadbrzeżnych drzew i rozpalali ogniska. Dzieciarnia z całego miasta zbiegała się, aby posłuchać opowiadań o dalekich puszczech, ogromnych rzekach, bezdennych jeziorach i oczywiście strasznych przygodach, jakie flisacy przeżyli w trakcie swej kilkutygodniowej wędrówki z dalekich Mazur lub Podlasia.

W Ostrołęce urodziła się moja siostra Hania. To, co zapamiętałem, to głęboki biały wózek „limuzyna”, którym woziłem ją po pokoju, a nawet kilkakrotnie pozwolono mi jechać po ulicznym chodniku. To zdjęcie z rodzinnego albumu, które gdzieś się zapodziało, ale które mam przed oczyma: stoimy obydwoje pod krzakiem jaśminu, Hania z ogromną, jasną kokardą na głowie, ja w furazerce. W wyciągniętej ręce trzymam pistolet – korkowiec, drugą ręką obejmuję siostrę tak, jak bym miał ją bronić przed złem całego świata.

Wkrótce wyprowadziliśmy się z Ostrołęki i los rzucił naszą rodzinę do Łochowa. Dla naszych Rodziców to była szósta lub siódma przeprowadzka związana z pracą Taty. W Łochowie zamieszkaliśmy na piętrze dużego drewnianego domu, wybudowanego chyba przed I wojną. Ongiś mieszkała tam rodzina właściciela sąsiedniego folwarku. Jak na łochowskie warunki mieszkanie można było uznać za komfortowe, miało bowiem dwa pokoje, dość dużą kuchnię, strych, kilka bokówek oraz obszerną werandę. Na podwórku były: zakopana głęboko w ziemi piwnica, drewnutnia, kurnik, a także drewniany wychodek z serduszkim wyciętym w drzwiach. Ze względu na brak obory do Łochowa nie dotarła krowa, przyjechała natomiast para królików – szynszyli oraz kilka kur z kogutem. Pociągami do stacji, a potem konnym wozem dojechał także „magiczny” stół, rzeźbiona szafa, metalowe łóżko z błyszczącymi gałkami, kilka wiklinowych koszy i kufrów z odzieżą i ze „skorupami”, czyli zastawą stołową. Dojechał także samowar, kilka naftowych lamp, paczki z książkami i rower. Tych wędrujących z miejsca na miejsce rzeczy było oczywiście więcej,

bowiem ostatnie sprzęty dotarły chyba po miesiącu od czasu zamieszkania w Łochowie. Oczywiście, każda przeprowadzka łączyła się z wyzbywaniem starych rzeczy, które potem przez długie lata żyły we wspomnieniach i jawiły się jako symbole utraconego dobrobytu. Tak było z kuchennym stołem, który w żaden sposób nie zmieściłby się w łochowskiej kuchni, wirówką do mleka czy okrągłym drewnianym pudłem na kapelusze.

Prawdziwy Łochów znajdował się około trzech-czterech kilometrów od naszego domu. Jego nazwa pochodziła, prawdopodobnie od łochoń, czyli odmiany bagiennych jagód. Rosły w okolicznych sosnowych lasach, na skraju mokradeł. Ich krzaki sięgały niekiedy powyżej kolan, a niebiesko-granatowe owoce miały wielkość wiśniowej pestki. Miejscowi nazywali je „pijanicami”, jako że ich sok miał lekko oszałamiające działanie.

My mieszkaliśmy na Stefaninie, niedaleko były osady Budziska, Gwizdały i Jadów, zaś za lasem – Mysie Jatki. Najważniejszymi jednak w okolicy osiedlami były Łochów Stacja oraz Przejazd, gdzie była szkoła. Właśnie do tej szkoły zacząłem chodzić i to od razu do drugiej klasy. Słowo chodzić nie oddaje w pełni tego, z czym łączyły się moje codzienne uczniowskie wędrówki. Do szkoły wiodły w zasadzie dwie drogi, w wariantach zależnych od pory roku, pogody, humoru, a przede wszystkim dysponowanego czasu i towarzystwa. Zimą szedłem przez zamrożone bagno, a wracałem przez Stację, gdzie na szosie można było ucześcić się konnych sanek lub skakać z rampy w metrowe zaspy śniegowe. Można było także iść na przełaj przez łąki, gdzie stada kuropatw rozgrzebywały kretowiska i sznureczkami śladów znaczyły biel śniegu. Na śniegu można było także śledzić tropy kicających zajęcy i wypatrzeć wymoszczone trawą dołki, w których nocowały. Wczesną wiosną i w jesienne deszczowe dni można było przejść jedynie przez pola, omijając rozlewiska i wezbrany strumyk pod lasem. Najwięcej atrakcji było latem. Wraz z kolegami z czworaków wędrowaliśmy wtedy skrajem bagien, skacząc niekiedy z kępy na kępę, następnie po belce przerzuconej przez strumyk, lasek i w końcu wąskimi ścieżkami wśród klujących rzędów sosnowego młodnika. Potem trzeba było tylko przeleźć przez dziurę w siatce szkolnego boiska i wraz z dzwonkiem wpaść w drzwi klasy.

Zgodnie z tytułem opowiadania miało być o stole, ale nie mogę oprzeć się pragnieniu, aby teraz opisać nader specyficzne przygody z czasów szkolnych. Obiecuję, że jeszcze będzie o stole i to w różnych wariantach!

Szkoła mieściła się w ogromnym drewnianym baraku, stojącym wśród sosnowego lasu, niedaleko przejazdu kolejowego. Wydarzeń z drugiej i trzeciej klasy zbyt dobrze nie pamiętam, natomiast poczynając od klasy czwartej, gdy przenieśliśmy się do innego budynku, „za torami”, wspomnień mam na pęczki. Nie będę pisał o: ławkach z dziurą na kałamarz, porannych apelach ze śpiewaniem „międzynarodówki”, codziennej modlitwie przed i po lekcjach, panu woźnym z wielkim mosiężnym dzwonkiem i kijem, „tureckich” ubikacjach śmierdzących chlorem i papierosami – tego rodzaju atrakcje były w owym czasie chyba w każdej szkole. Muszę natomiast wspomnieć o zbiórce surowców wtórnych, uczniowskim ogrodzie i niebywale długich powrotach ze szkoły. Ale po kolei.

Tak gdzieś na początku marca pan dyrektor na porannym apelu ogłosił klasowe współzawodnictwo w zbiórce surowców wtórnych – wtedy to nazywało się jakoś inaczej, ale dotyczyło zbierania kości, złomu, szkła i makulatury. Każdy uczeń miał za zadanie przynieść do szkoły możliwie najwięcej surowców, które raz w tygodniu były ważone i wywożone na pobliską rampę kolejową. Zwycięska klasa miała pojechać na wycieczkę do Warszawy. Gdy domowe zapasy starych książek, dziurawych garnków i zbędnych butelek znalazły się w klasie, okazało się, że jest tego nader mało i nie mamy żadnej szansy we współzawodnictwie. Musieliśmy zorganizować coś wyjątkowego. Najpierw wszyscy wyprawiliśmy się wzdłuż torów kolejowych w kierunku Sadownego. W czasie wojny na tym odcinku kolej była kilkakrotnie bombardowana i w krzakach walało się wiele porwanych wybuchami elementów wagonów, szyn i innego żelastwa. Kilkakrotnie wracaliśmy z załadowanymi tornistrami, wlokąc za sobą dłuższe i cięższe kawały porzuczonego złomu. Po kilku dniach przy ganku szkoły urosła z tego imponująca sterta. Pani wychowawczyni, zachwycona naszą aktywnością, zasugerowała, aby w podobny sposób poszukać pozostałych surowców – oczywiście wzięliśmy sobie to głęboko do serca. Jeden z kolegów znalazł miejsce gdzie w czasie wojny spłonęła huta szkła. Rzeczywiście, w ruinach, pod grubą warstwą śmiecia i zwęglonych desek, można było wykopać stopione matowe bryły szkła. Znow ładowanie zdobycy

do tornistrów (o ile ktoś miał takowy, bowiem znaczna część uczniów chodziła do szkoły z książkami i zeszytami spiętymi rzemiennym paskiem) i znów zajęliśmy pierwsze miejsce. Na makulaturę nie mieliśmy żadnych szans, bowiem w mało której rodzinie czytano prasę, (stare gazety miały poza tym specjalne przeznaczenie w domkach z serduszkami), książki też były rzadkością, więc pozostały kości. W jakim celu zbierano wtedy kości, do dziś nie mam pojęcia, w każdym bądź razie mój partner z ławki, nazywał się Rogala, miał pomysł. Dość daleko od szkoły, w kierunku Baczek były piaszczyste pagórki, gdzie ongiś zakopywano padłe krowy i konie. Oglądał już to miejsce, ale ziemia była zmarznięta, więc nic nie mógł wykopać. Poczekaliśmy na pierwsze dni odwilży i gdy lekcje były po południu, rankiem poszliśmy tam, zaopatrzeni w szpadel i długie druty. Rzeczywiście miejsce było doskonałe, wystarczyło poruszyć ziemię, aby odkryć ogromne gnaty. Wydobyliśmy co większe fragmenty szkieletów i wlokąc je za sobą zaciągnęliśmy do szkoły. Lekcje jeszcze się nie zaczęły, więc z obawy, aby konkurenci z innych klas nie podkradli nam zdobyczy, złożyliśmy stos kości w kącie sali lekcyjnej. Trzeba wspomnieć, że w szkole w każdej klasie były piece, a w naszej stała żelazna koza z długą rurą. Pan woźny, każdego ranka palił w piecach drewnem i węglem, który zgodnie z grafikiem dostarczali rodzice uczniów. Za tą właśnie kozą, w kącie, wepchaliśmy nasze gnaty i wybiegliśmy na podwórko, aby czekać na dzwonek. Gdy po kilkunastu minutach wraz z nauczycielką weszliśmy do klasy, już na progu powalił wszystkich straszliwy fetor. Zmrożone kości odtajały, spod ich stosu wypłynęła tłusta maź, a kilka resztek przylegających do gorącego pieca nieco się przypaliło. Smród był potworny, o lekcjach nie było mowy. Nie pomogło wyniesienie naszej zdobyczy, wyszorowanie podłogi i kilkugodzinne wietrzenie całego budynku. Następnego dnia woźny musiał wypalać naftą przesiąknięte deski podłogi, ale pomimo tego jeszcze przez wiele dni zajęcia odbywały się przy otwartych oknach. Na domiar złego moja klasa straciła także pierwsze miejsce w zbiorce złomu, ponieważ okazało się, że w naszej stercie znalazła się pewna ilość śrub i haków używanych aktualnie do mocowania szyn na podkładach, a więc prawdopodobnie „zorganizowanych” z jakiegoś kolejowego składziku.

Szkolny ogród był w tamtych czasach wielkim eksperymentem. Niedaleko torów, na półhektarowym nieużytku, każdej klasie przydzielono odpowiedni kawał gruntu. Przez pierwsze tygodnie, z pomocą rodziców, trzeba było wykarczować stare olchy i krzaki wierzby. Potem wynajęty przez szkołę rolnik całość zorał i wysprężynował, a myśmy wynosili w koszach ogromne sterty perzu i darni. Zrobienie grządek i posianie warzyw oraz kwiatów to była prawdziwa przyjemność. Codziennie przed lekcjami klasowi dyżurni mieli za zadanie podlać zasiewy wodą z pobliskiego rowu melioracyjnego, a raz w tygodniu cała klasa miała 3-4 godziny zajęć w ogródku. Celem tego wszystkiego była popularyzacja rzadkich i nieznanych w Łochowie warzyw i kwiatów. Nie bardzo pamiętam, co się działo w ogrodzie w czasie wakacji, ale jesienne zbiory były obfite i wszystkie marchewki, buraki itp. poszły do szkolnej kuchni, a co bardziej dziwne rośliny koledzy zabrali do pokazania w domach. Ja nic nie zabierałem, bowiem, jak już poprzednio pisałem, mieszkaliśmy w domu właściciela folwarku, który przed wojną także eksperymentował z różnymi uprawami. W przydomowym ogrodzie rosły zdiczale szparagi, a na podwórku pleniły się bulwy. Klomb przed wejściem był porośnięty specjalną odmianą głogu, z którego płatków Babcia robiła konfiturę, a z owoców było wspaniałe wino. Tuż przy drzwiach wejściowych wznosiła się na kilkanaście metrów drzewiasta leszczyna. Jesienią wystarczyło wdrapać się na jej konary, mocno potrząsnąć i jak grad sypały się dorodne orzechy – nieco większe od laskowych. Obok domu, na krawędzi ogrodu, rosło dziwne drzewo – trześnia, o bardzo soczystych, lecz cierpkich owocach. Wracając do bulw, były to ponad metr wysokie, sztywne pędy o sercowatych, szorstkich liściach, a pod ziemią kryły się perłowszpare kulki, przypominające sękatę korzenie dali. Po ugotowaniu smakowały jak przymrożone, słodkie kartofle. Teraz wiem, że roślina ta nosi wdzięczną nazwę tupinambur, ale w Łochowie był traktowany jako uciążliwy chwast, a bulwy niekiedy gotowano dla świń. W następnym roku na szkolnych grządkach posialiśmy wyłącznie rycynus. Według naszej wychowawczynie z nasion rycynusu tłoczono olej, który służył jako dodatek do paliwa raketowego?! Przypominam, że były to pierwsze lata podboju kosmosu i doglądając podobne do łubinów roślinki czuliśmy się co najmniej jak współtwórcy lotów na księżyc.

Szkolne przygody to także droga powrotna po lekcjach. Jeśli do szkoły szedłem około 40 minut, to wracałem niekiedy w ciągu dwóch-trzech godzin. Najczęściej wiosną, gdy droga wiodła skrajem sosnowego zagajnika, koniecznie musiałem zatrzymać się przy ogromnych

mrowiskach. Zaaferowane mrówki biegały we wszystkich kierunkach i był to doskonały moment, aby podzielić się z nimi resztkami kanapki i obserwować jak transportują kawałki chleba. Potem kilka minut trzeba było poświęcić na wypatrzenie swojskich pijawek w pobliskim strumyku lub złowić do słoika żółto-brzeżka albo kałużnicę. Dalej droga wiodła wokół bagna. Na przełomie maja i kwietnia było tu przepięknie. Z wody, w której odbijał się błękit nieba, wystawały zielone, kopulaste kępy sitowia przetykanego zeszlórocznymi pałkami. Przy brzegu falowały wysepki żółtych kaczeńców, a wzdłuż strugi tłoczyły się pęki błękitnych niezapominajek. Nad tym wodnym rajem z głośnym, przenikliwym „kiwit” podrywały się dziesiątki czajek. Latały tuż nad głową, starając się odstraszyć intruza od gniazd, w których leżały oliwkowe, nakrapiane jajka. Przed deszczem koncertowały żaby, a na płyciznach roiło się od wodnych żuków, kijanek i ślimaków. Cały ten wodno-błotny świat to była najlepsza lekcja przyrody. Tu mogłem schwytać do domowego akwarium grzebieniaste traszki, tu któreś wiosny pojawiły się młode, wielkości ołówka, szczupaki. Tu kolega łapał dla swojej babci pijawki, takie szare, z żółtym paskiem na grzbiecie, zwane swojskimi. Do dziś mam przed oczyma wysoko pod niebem zawieszone skowronki, przelatujące ze świstem skrzydeł kaczki i czuję zapach, którego nie potrafię nazwać inaczej, jak zapachem przyrody.

Gdy już minąłem bagno, trzeba było wdrapać się na wzniesienie, gdzie stały czworaki i gdzie mieszkał mój kolega Kopeć. Czworaki to był długi murowany budynek – barak. Każda z dziesięciu rodzin gnieździła się w identycznych jednopokojowych mieszkaniach z małą kuchnią oraz spizarką. Ciasnota była tam niebywała, rodziny, często trzypokoleniowe, miały do dyspozycji może ze dwadzieścia metrów kwadratowych, ale, jak zapamiętałem, było tam czysto i schludnie. W oknach kwitły pelargonie i obowiązkowo stał słoik z pijawkami, a jesienią dodatkowo duże gąsioriki z jagodami i wiśniami zasypnymi cukrem. W sionce najczęściej była zagroda dla kurczaków lub młodych gęsi. Obok czworaków były chlewiki, gdzie na wiosnę kwiczały prosiaki, a łąki nad bagnem bieleły się stadami kaczek i gęsi. Z kaczkami nie było kłopotów, ale gorzej było z gęsiami, a właściwie gąsiorami. Wystarczyło podejść zbyt blisko do stada, aby ogromne ptaszysko z rozpostartymi skrzydłami i groźnym sykiem leciało w kierunku intruza. Nie było wtedy dyskusji, tylko trzeba było brać nogi za pas i uciekać jak najdalej. Gdy już minąłem stada gęsi i równie groźnych indyków, czekał mnie kawałek piaszczystego, porytego głębokimi koleinami wiejskiego traktu. Dalsza droga wiodła przez las pełen brzoź, niskich sosenek i kilkudziesięciu młodych dębów. Jesienią wśród fioletowych wrzosów można było wypatrzeć brunatną główkę prawdziwka lub jasnobrazowy wypukły kapelusz kozłaka. Najwięcej jednak było starych pni obrosniętych kępami opieńków. Trzeba było dobrze zapamiętać te miejsca, aby po obiedzie wrócić z nożem i koszykiem.

Zimą w drodze powrotnej czekały inne atrakcje. W końcu grudnia w pobliżu Świąt przychodził pierwszy solidny mróz, który ścinał lodem powierzchnię bagna. Najpierw przy brzegach tworzyła się cienka, krucha tafla, szara od szronu, przechodząca stopniowo w ciemną, podbiegniętą wodą szybę. Codziennie co odważniejsi chłopcy próbowali wytrzymałości lodu, aby po którejś mroźnej nocy zaryzykować przejście przez środek. Bagno nigdy nie zamarało w całości, w kilku miejscach nawet przy najostrejszych mrozach lód był miękki, miał żółtobrunatną barwę i unosiły się nad nim smugi pary. Oczywiście, znaleźliśmy te miejsca i omijali dużym łukiem. Najbezpieczniej było iść skrajem rowu melioracyjnego, który ongiś przekopano przez bagno, tworząc przy okazji niską groblę. Większą część roku grobla była pod wodą, ale przynajmniej zapewniała to, że po zapadnięciu się lodu nie było tam głębiej niż do kolan. Oczywiście, o ile nie zboczyło się nad strumyk lub bagno, bo wtedy i kurtka bywała mokra. Cienka tafla lodu ugięła się pod nogami, a gdy biegły po niej gwiaździste pęknięcia, wydawała dziwne, jęklive odgłosy. Pod spodem jak białe baloniki przesuwwały się bąble powietrza, lub tkwiły wmarznięte krągłe liście grążeli. Potem bagno pokrywało się białą pierzyną, na lodzie tworzyły się brunatne gruzły i uskoki, tak że tylko w kilku miejscach można było ślizgać się na butach. W tej chwili przypomniałem sobie jazdę po takim wyslizganym paśmie lodu leżąc na tornistrze lub zjazd z wysokiej góry z tornistrem pod siedzeniem! Gdy wiosenne roztopy zalewały wodą okoliczne łąki, można było pływać na lodowych krach. Stawało się na grubszym kawałku lodu, wielkości stołu i odpychało od dna bajorka długą tyczką. Kra przechylała się, tonęła, często pękała pod nogami i delikwent wracał

mokry do domu. Pomimo rodzinnej awantury te atrakcje powtarzały się nieodmiennie każdego roku. Takie to były powroty ze szkoły.

W zimie nasze mieszkanie także nabierało innego charakteru i wyglądu. Pierwszym zwiastunem końca jesieni było wstawianie dubeltowych okien. Duże drewniane ramy ostrożnie przynosiliśmy ze strychu. Trzeba było je umyć i osadzić na wewnętrznych zawiasach. Potem wraz z pierwszym przymrozkiem nadchodziła akcja klejenia okien. W wielkim garnku gotował się kłajster z żytniej mąki, a wszyscy domownicy zatrudnieni byli przy cięciu długich pasków z odłożonych zawczasu gazet i papierów. Paski smarowało się kłajstrem i przyklejało do krawędzi ram okiennych. Wcześniej na parapecie pomiędzy oknami układaliśmy grubą warstwę waty i ustawialiśmy miseczki z solą. Dla ozdoby wykładaliśmy suszone kwiatki lub wycinanki z kolorowego papieru. Okna były zamknięte aż do pierwszych dni wiosny, otwierać można było jedynie niewielkie lufciki. Weranda, która miała tylko pojedyncze, przesuwane okna, przez całą zimę była zamknięta, a jej drzwi zawieszono grubym kocem. Duży pokój także był zamknięty, a w jego piecu paliło się raz na kilka dni, aby nie zawilgotniał i nie pojawił się grzyb. Po prostu nie było nas stać na ogrzewanie tak dużego pomieszczenia. A teraz pora, aby wrócić do tytułowego stołu.

Magiczny stół stał na środku tego pokoju, zwanego salonem. Pokój był rzeczywiście obszerny, miał aż dwa duże okna. Na warunki łochowskie był olbrzymi, całe mieszkania moich kolegów z czworaków były niewiele większe. O jego wielkości może świadczyć fakt, że mogliśmy bez przeszkód jeździć dziecinny rowerem wokół stołu, nie zaczepiając o stojące pod ścianami inne meble. Pokój był wspinałym miejscem na choinkę, tylko u nas stała, zielona i pachnąca, od Świąt aż do Gromniczej.

Ten zimowy czas przynosi garść najpiękniejszych wspomnień. Powrót z zaśnieżonej Pasterki, opłatek, kolędy i ciepły piec, o który można było się oprzeć plecami lub nagrzać ręce. Uroczysta Wigilia i choinkowe prezenty. Potem ferie i wieczory w kuchni na taborecie. Przez uchylone drzwiczki pieca widać płonące kawałki drewna. Języki ognia mienią się wszystkimi barwami, od jaskrawej żółci aż po głęboki fiolet. Na ścianach i suficie tańczą pelgające cienie, a w popielniku powoli dogasają złote iskry. W takie wieczory Kinia włązała na kolana, mruzczała i wyjątkowo pozwalała trzymać rękę na jej grzbiecie. W takie wieczory, gdy wiatr jęczał gdzieś na poddaszu, dzwoniły szyby okienne i potrzaskiwały drewniane ściany, mieszkanie stanowiło prawdziwy azyl. Na płycie kuchennej mruzczał czajnik, Babcia opowiadała bajki. W pokoju przy świetle lampy naftowej Tato ślęczał nad biurowymi papierami, a Mama cerowała skarpety. Potem już nigdy nie było takich wieczorów.

Pora teraz wspomnieć o kuchennym stole. Ten z Ostrołęki nie dojechał do Łochowa i miejscowy stolarz zrobił nowy, podobny, ale znacznie mniejszy. Miał także gruby blat, do którego przykręcało się maszynkę do mięsa lub wyciskarkę do owoców, miał także szufladę na sztuce oraz półkę na garnki i patelnie. Półka tradycyjnie była zasłonięta granatową kretonową kurtyną. Ten tak szczegółowy opis jest istotny z powodu Kocicy! Dlaczego, zaraz wyjaśnię. Kocica, zwana pieśczośliwie Kinią, zjawiła się u nas w kilka tygodni po przeprowadzce i została na zawsze. Była to ogromna pręgowana kotka, z futrem w tygrysim kolorze i o bardzo zdecydowanym charakterze. Nie znosiła czułości ani pieśczoł, chętnie siadała na kolanach, ale pod żadnym pozorem nie pozwalała na głaskanie lub drapanie za uchem. Najpierw charakterystycznie prycała, a potem bez ceregieli waliła pazurzystą łapą lub gryzła. Pomimo tego była ulubieńcem całej rodziny, no może z wyjątkiem Babcia. A było to tak. Babcia na stole kuchennym przygotowywała kotlety, najczęściej mielone. Kinia chyłkiem wślizgiwała się pod zasłonę stołu, skąd przez szparę obserwowała sytuację. Gdy tylko Babcia odchodziła do pieca, aby dopilnować patelni, Kinia wysuwała łapę i na oślep macała po stole. Gdy tylko złapała pazurami za kotlet natychmiast chowała go w głębi półki i czatowała na następny. Potrafiła w ten sposób „zorganizować” również bitki czy przygotowane do smażenia kawałki boczku. Za te bezceństwa nieodmiennie dostawała lanie ścierką, ale niewiele sobie z tego robiła. Podejrzewam zresztą, że Babcia świadomie układała na brzegu stołu jakieś gorsze kawałki mięsa, a cały teatr miał rytualny charakter. Kinia miała równie wiele zalet jak i wad. Potrafiła wdrapać się po drewnianej ścianie aż do okna werandy na pierwszym piętrze, potrafiła upolować szczura i dumnie przynieść go do domu, ale równie namiętnie polowała na ptaki gniezdzące się pod dachem i w ogrodzie. Przypomniałem sobie w tej chwili jeden epizod, gdy Kinia

sprawdziła się w roli psa tropiącego. Któreś wiosny zaczęły ginąć kury i to w nader dziwnych okolicznościach. Wieczorem Mama zamykała stadko liczące ponad dwadzieścia sztuk, a raniem nie mogła się doliczyć jednej lub nawet dwóch kur. Początkowo podejrzenie padło na jakiegoś wiejskiego złodziejaska, ale gdy na drzwiach kurnika zawisała solidna kłódka, a raniem ponownie brakowało jednej sztuki, domysłem nie było końca. Problem wyjaśniła Kinia, przywędrowała za nami do chlewika i zaraz zaczęła węszyć po kątach. W pewnym momencie wdrapała się na stos drewna opałowego i pazurami zaczęła rozgarniać zgromadzone przy ścianie śmiecie. Okazało się, że pod drewnem była jama tchórza, który nocą dusił kury i tędy wyciągał je na podwórko. Wystarczyło zabić dziurę kawałem blachy, aby kradzieże skończyły się. A jeśli chodzi o kradzieże, to Łochów był nadzwyczaj bezpiecznym miejscem. Mieszkania moich kolegów z czworaków nigdy nie były zamykane. Gdy dzieci były w szkole, a dorośli wychodzili na pole, to jedynie skobel w drzwiach wejściowych przetykano patykiem. Robiono to wyłącznie dlatego, aby do mieszkania nie dostały się psy lub gęsi nie zaczęły buszować w sionce.

Gdy przypominałem swoje ostrołęckie przeżycia, na jedno z pierwszych miejsc wysuwało się wspomnienie pożaru Domu Towarowego. W Łochowie też byłem świadkiem podobnego kataklizmu – płonął las. Któregoś letniego popołudnia, na wschodzie pokazała się najpierw błękitna, a potem coraz ciemniejsza chmura dymu. Początkowo oglądałem ją z zainteresowaniem z okien werandy, ale gdy na budynku Rejonu Lasów zaczęła wyc syrena, a Tato wbiegł do domu, aby zabrać służbową raportówkę, zacząłem się niepokoić. Nie wiem, co spowodowało, ale po chwili jechałem Willisem z Tatą i dwoma inspektorami do pożaru. W pierwszej chwili wydawało się, że ogień jest bardzo blisko, może nawet w lesie, gdzie zazwyczaj zbieraliśmy łochynie. Zastanawiałem się, jak samochód przejedzie przez wąski mostek na strumyku. Ale my wydostaliśmy się na szosę, minęliśmy Stację i szkołę i jechaliśmy coraz dalej. Chmura dymu, jakby wcale się nie zbliżała, wznosiła się tylko coraz wyżej i od dołu robiła się rudo-czerwona. Gdy skręciliśmy w jakąś boczną piaszczystą drogę, w powietrzu dawało się wyczuć swąd palonego jałowca zmieszany z zapachem terpentyny. Zaraz za nami jechał czerwony samochód straży pożarnej, a przez pole pędzili ludzie z siekierami i łopatami. Przed Willisem przez jakiś czas biegło stadko ogłupiałych saren, a na zakręcie przeleciał lis goniony przez zająca. Musieliśmy jeszcze kilkanaście minut przedzierać się coraz węższymi leśnymi duktami i ścieżkami, zanim można było zobaczyć pierwsze płomienie. To było przerażające! Ogień wydostał się ponad wierzchołki starych sosen, w niebo leciały całe słupy iskier i płonących gałązek. Pomimo że byliśmy kilkaset metrów od płomieni, powietrze wokół drgało od gorąca, a na głowy sypały się białe płyty popiołu. Na szczęście nie było wiatru, przed nami była wilgotna kotlina porośnięta olchą i wierzbą, oddzielona od płonącego starodrzewu szeroką piaszczystą drogą. Ludzie z sąsiednich wsi, którzy przybiegli z siekierami i piłami, zaczęli wycinać szeroki pas na granicy następnego lasu. Straż pożarna rozciągnęła węże do pobliskiego bagienka i zaczęła polewać ściółkę. O gaszeniu płonących drzew nie było mowy, żar był tak ogromny, że co jakiś czas drwale biegli do pompy, aby polać ich ubrania wodą. Ja, przerażony i przejęty, siedziałem w samochodzie. Kierowca także siedział na swoim miejscu, aby w każdej chwili można było uciekać. Po kilku godzinach pożar zaczął przygasać, płomienie opadły, tylko cała okolica zasnuta była gryzącym dymem i zasypana kopciem. Nasze ubrania jeszcze długi czas pomimo prania czuć było pożarem, a mnie przez wiele nocy śniły się sięgające nieba płomienie. Okazało się, że spłonęło kilka hektarów i tylko szczęśliwym trafem ogień nie przedarł się do lasu łochowskiego.

Łochów trudno było nazwać wsią, a jeszcze trudniej miasteczkiem, była to po prostu rozrzucona w kilku miejscach osada. Jedną z wątpliwych atrakcji, które w tych czasach dotykały mieszkańców małych miejscowości, było wyłączanie elektryczności. Odbywało się to regularnie, dwa dni w tygodniu. Oczywiście zdarzały się także dłuższe nieprzewidziane okresy bez prądu. Nasze życie było dostosowane do takich sytuacji. W każdym pomieszczeniu na ścianie wisiała lampa naftowa, na strychu stała bańka z naftą, a dodatkowo mieliśmy latarkę karbidową. Do szybkiego podgrzania wody, gdy nie chciało się rozpalać „pod płytą” – na przykład w czasie letnich upałów, służył naftowy prymus. Do ugotowania jajka używało się niewielkiej maszynki spirytusowej. Z tych wszystkich „bezprądowych” urządzeń najciekawsze było radio. Tato namiętnie i regularnie słuchał Wolnej Europy i Głosu Ameryki. Była to zabroniona, wręcz ryzykowna przyjemność. W razie donosu można było mieć poważne kłopoty, aż do zwolnienia z pracy lub

degradacji. Może dlatego do dziś tkwi mi w uszach charakterystyczny sygnał wieczornych audycji, oraz głuchy warkot i gwizdy stacji zagłuszających. Gdy w gniazdku było napięcie, audycji słuchaliśmy z odbiornika Pionier. Miał on aż cztery lampy, podświetloną skalę z kilkudziesięcioma dziwnymi nazwami stacji radiowych i odbierał długie i krótkie fale. Gdy brakło prądu, na stół wyjeżdżał przedwojenny odbiornik kryształkowy. Było to czarne bakelitowe pudełko z dwoma pokrętłami, gniazdkami do podłączenia uziemienia i anteny oraz dwóch słuchawek. Najważniejszym jednak elementem, sercem tego radia, była szklana rurka z kryształkiem. Po połączeniu całości następowało tzw. dziobanie, czyli delikatne poszukiwanie na kryształku miejsca dającego najlepszy odbiór. Często trwało to kilkanaście minut, ale bywały też dni, gdy nic nie udało się złapać. Przy okazji warto wspomnieć o antenie i uziemieniu, które przy tego typu odbiorniku musiało być nader solidne. Wkrótce po przyjeździe do Łochowa Tato sprowadził dwa wysokie maszty, kilkadziesiąt metrów miedzianej linki i specjalne porcelanowe izolatory. Maszty, grubo na dole powleczone smołą, ustawiliśmy na przeciwległych krańcach ogrodu, a pomiędzy ich szczytami zawisła linka antenowa, doprowadzona potem do gniazdko w pokoju. Na uziemienie poszedł duży mosiężny rondel Babci. Zakopaliśmy go głęboko w ziemi, dla lepszego kontaktu do dołu wsypaliśmy kilka kilogramów soli i drutem połączyliśmy jego rączkę z drugą częścią gniazdko. Kryształkowe radio działało bez prądu, ale mogły słuchać go jedynie dwie osoby za słuchawkami. Gdy odbiór był dobry, na stole stawała dnem do góry duża blaszana miednica, na niej druga mniejsza, w której układało się słuchawki. Cała rodzina pochylała się nad tym cudem techniki i mogła posłuchać „Podwieczorku przy mikrofonie” lub „Matysiaków”. Sąsiedzi mieli bardziej nowoczesny odbiornik, lampowy na baterie. Problem był jednak w tym, że specjalne ogniwa 60 V można było kupić tylko w Warszawie.

Z dotychczasowego opisu mogłoby wynikać, że życie w Łochowie było lekkie, łatwe i przyjemne. Z mego, dzieciniego punktu widzenia z pewnością było atrakcyjne. Miałem bardzo dużo swobody i poza nauką doprawdy niewiele obowiązków.

Moje zabawy były niezbyt skomplikowane. Jednym z zajęć było obserwowanie pajaków. W ubikacji i kurniku pod sufitem mieszkwały ogromne krzyżaki. Ich koliste siatki przypominały obecne anteny satelitarne. W narożnikach kryły się pajaki, których trójkątne siatki były szare, jakby posypane mąką. Mogłem godzinami przyglądać się, jak postępowwała budowa sieci i jak pajak dopadał ofiarę. Zgoła inną atrakcją było „dokarmianie” mrówek mieszkających w wypróchniałym pniu trześni. Były to bardzo „gryzące” czerwone mrówki, które obłaskawiałem cukrem i kawałkami ciasta.

Do mych nielicznych obowiązków należało codzienne dogłądanie królików. Latem trzeba było narwać koniczyny i mleczków, a raz w tygodniu wyczyścić klatki. Wiosną Mama kupowała w wylęgarni kilkanaście kurczaków i trzeba było pilnować, aby nie uciekły z kojca. Musiałem także donosić im wodę, siekane pokrzywy i inne kurze smakołyki. Co drugi dzień piłowaliśmy z Tatą drzewo, które potem porąbane musiałem zanieść do kuchni, gdzie dosychało w specjalnej skrzynce obok pieca. Do palenia oprócz drzewa używaliśmy węgla kamiennego, ale gdy były kłopoty z jego zakupem, trzeba było korzystać z torfu lub węgla brunatnego. To było okropne. Zanim udało się rozpaścić wilgotny torf lub bure kawały gąbczastego węgla mijało niekiedy kilkanaście minut. Często zdarzało się, że rozpalony piec wkrótce wygasł i trzeba było wygarniać okopcone resztki i cały rytuał zaczynać od początku. Do mnie należało wygarnianie i wynoszenie popiołu. Wynosiłem także wiadro z brudną wodą. Nie napisałem jeszcze, że w Łochowie nie było kanalizacji. Potrzebną w domu wodę przynosiło się wiadrami ze studni na podwórku. Początkowo była to typowa wiejska studnia z kołowrotem, a w ostatnich latach naszego pobytu zjawiała się pompa. Pompę przed użyciem trzeba było „zalewać”, a zimą owijać grubą derką, ale w porównaniu do konieczności kręcenia korbą i wyciągania ciężkiego drewnianego wiadra pompa była dużym ułatwieniem. Do moich zadań należało także bieganie do piekarni po chleb i po mleko do sąsiadów, którzy mieli krowę. Również chodziłem na Stację do mydlarni, gdzie kupowało się naftę lub towarzyszyłem Mamie przy wtorkowych zakupach na rynku lub w sklepie. Ówczesny sklep wyglądał zupełnie inaczej niż obecny. Najczęściej było to małe pomieszczenie wygoszparowane w mieszkalnym domu. Szeroka lada, na której stała wielka biała waga z dużą wskazówką, obok słoiki z landrynkami, raczkami i krówkami, a dalej oszklona gablota z papierosami i kosmetykami. Za ladą sprzedawczyni w fartuchu, a za nią pod ścianą skrzynie z pokrywami i napisami: cukier,

sól, mąka itp. Wyżej półki, a na nich butelki z octem, olejem, winem, jakieś ciastka, zeszyty, ołówki itp. Niekiedy na ladzie pojawiała się drewniana skrzyneczka z marmoladą lub wiadro śledzi. W kącie sklepu stały zazwyczaj beczki z kapustą, kiszonymi ogórkami, skrzynki jabłek. Była także dziesiętna waga, niezbędna przy zakupach większej ilości towaru. Można byłoby pomyśleć, że obecny wiejski sklepik wygląda identycznie, ale różnica jest zasadnicza. Dawniej ponad 90% towarów nie było zapakowane i trzeba było je ważyć lub odmierzać. Wszystkie kasze, cukier, mąka, sól były dostarczane w ogromnych workach i sprzedawczyni nabierała je szufelką do papierowej torebki, ważyła, dosypywała, odsypywała. Mleko stało w wielkich bańkach i specjalną miarką przelewało się je do butelek lub kanek klientów. Wszystkie cukierki, ciastka były „na wagę” i każde zakupy trwały naprawdę długo. Te dawne sklepiki miały specyficzny zapach i bardzo indywidualny charakter. Bardzo lubiłem mieszczący się na Stacji sklep owocowo-warzywny, jego wnętrze pachniało dojrzałymi jabłkami, cynamonem i wanilią, a na parapecie okiennym leżał duży rudy kot. Łochowską aptekę także zapamiętałem jako tajemnicze miejsce, pełne dziwnych zapachów, białych słoików z łacińskimi nazwami i tysiącem szufladek. Na rzeźbionej czarnej ladzie stała waga z błyszczącymi mosiężnymi szalkami. Pan aptekarz w długim białym kitlu, z ogromnymi okularami, ucierał jakieś specyfiki w porcelanowym moździerzu lub przelewał do brązowych buteleczek tajemnicze płyny. Lekarstwa prawie wyłącznie robiono według recepty. Proszki otrzymywało się zawinięte w papierowe pakieciki lub w tzw. opłatkach, maści w drewnianych okrągłych pudełeczkach, krople w specjalnych buteleczkach z dziobkiem, a wszelkie syropy w butlach ze specjalną papierową karbowaną kryzą na korku.

Często piszę o zapachach, które tkwią gdzieś w podświadomości i niespodziewanie pozwalają odtworzyć fragmenty przeszłości. Zapachy apteczne uruchomiły wspomnienia o nader pachnącym specyfiku – terpentynie. Niedaleko od naszego domu była stara, chyba jeszcze sprzed I wojny, terpentyniarnia. Niski ceglany budynek z przysadzistym kominem, połączony grubymi rurami z ogromnym czarnym zbiornikiem. Obok doły pełne tłustej, pokrytej tęczowymi plamami wody i stosi karpiny. Cała okolica pachniała; słowo pachniała nie oddaje głębi tych specyficznych zapachów: żywicy, terpentyny, kalafonii, gorącego węgla, mokrych korzeni i setki innych pomieszanych woni. W sumie lubiłem ten „leśny” zapach i jedynie wtedy, gdy otwierano piec i wyjeżdżały wagoniki z dymiącym węglem drzewnym, lepiej było trzymać się z daleka. Następne wspomnienie „zapachowe” to wyluszcarnia szyszek. Wysoki ażurowy drewniany budynek stał w pobliżu terpentyniarni. Obok była ceglana kotłownia i bębnownia. Tu zapach był delikatny, świerkowo-jodłowy i w pewnym stopniu kojarzył się z Gwiazdką. Szyszki przyjeżdżały w wielkich workach i najpierw schły w siatkowych pojemnikach – szufladach, podgrzewane gorącym nadmuchem z kotłowni. Po kilku dniach, częściowo otwarte, trafiały do obrotowych, również podgrzewanych bębnowi. Turlały się w nich przez kilka godzin, a skrzydlate nasionka wysypywały się do umieszczonych na dole pojemników. Czasami, gdy nie dowieziono odpowiedniej ilości szyszek, mogłem w wyluszcarni wysuszyć jabłka lub grzyby.

Zgodnie z obietnicą pora wrócić do spraw związanych ze stołem. Sądzę, że najlepiej będzie teraz opowiedzieć o ówczesnym jedzeniu. Na w pół wiejskie warunki, jakie mieliśmy w Łochowie, zasadniczo dyktowały nasze menu. Jak pamiętam, na śniadanie była zazwyczaj manna, niekiedy zupa mleczna z kaszą i kartoflami lub tapioka. Na obiad obowiązkowo była zupa i często makaron z różnymi dodatkami: serem, zapiekany z marmoladą, okraszony słoninką. Tak przy okazji – makaron był domowy, nie tylko z nazwy. Co parę dni Babcia na stolnicy zagniała ciasto, wałkowała je na cienkie, szerokie płaty i zręcznie cięła na zgrabne makaroniki. Podobnie na stolnicy spod rąk Babci i Mamy, tylko z innych surowców, powstawały kopytka, kluski, pierogi, uszka i tym podobne mączne rarytasy. Mięsa w kuchni było niewiele i nie często, jeśli już, to z okazji świąt lub świniobicia u sąsiadów. My nie hodowaliśmy wieprzków, a jedynie kury i króliki. Frykasy w postaci szynki, kielbasy czy pasztetu robiło się na Święta. Dobrze pamiętam przygotowania do Wielkanocy. Kupiona u rzeźnika szynka przez kilka dni peklowała się w dużym glinianym garnku. W sobotę musiałem nanosić dużo drewna, aby solidnie napalić w chlebowym piecu. Osuszoną szynkę oblepiało się grubą warstwą ciasta zrobionego z otrąb i grubej, żytniej mąki. Kociubą Mama wygarniała żar z pieca i na największej blasze wsuwała szynkę. Obok niej stawały mniejsze, podłużne blachy z pasztetem i żeliwna brytfanna z pieczenią. Następne kilka godzin to był prawdziwy koncert zapachów. Kinia, oblizując się co chwila, pilnie obserwowała całą

ceremonię. Pozostali domownicy także wpadali do kuchni, aby się przynajmniej nawąchać. Z jedzeniem, a nawet próbowaniem trzeba było czekać aż do niedzielnego powrotu z Rezurekcji.

Pasztet to było coś wspaniałego! Trzy gatunki mięsa, podroby, koniecznie kawałek zająca i pieczoną cebulę musiałem trzykrotnie kręcić przez maszynkę. Teraz nie pamiętam już innych dodatków, ale stoją mi w oczach paseczki boczków, którym wykladało się dno i boki foremki. Kiełbasy także robiło się w domu i to nie tylko na Święta. Na te najlepsze mięso trzeba było siekać specjalnym tasakiem, a maszynka służyła jedynie do napychania jelit.

Na podwórku, w ogrodowej skarpie, Tato zrobił wędzarkę. Blaszana beczka, na dole, wyłożone cegłami palenisko, a wewnątrz haki do wieszania wędlin. Najpierw trzeba było zgromadzić odpowiednie liściaste drewno, nieco jałowca i pachnących ziół. Gdy wędzarka nabrała właściwej temperatury, wewnątrz zawieszano surowe kiełbasy, osznurowane szynki i balerony. Teraz przez kilka, a nawet kilkanaście godzin trzeba było pilnować ognia, dokładać jałowca i co jakiś czas sprawdzać skutek wędzenia. Rozpisałem się o tych mięsnych specjach może dlatego, że dzisiaj już takich wędlin nie ma. Prawdopodobnie inne było mięso, inne przyprawy, inne wędzenie, a przede wszystkim inny był apetyt.

Warto jeszcze wspomnieć o nieznanych dzisiaj napojach. O podpiwku będzie nieco później, ale w domu robiło się także kwas chlebowy i coś bardzo specjalnego – napój z grzybka! To już były końcowe lata naszego pobytu w Łochowie, gdy sąsiadka przyniosła w szklance jakąś dziwną galaretę. Był to „amerykański” grzybek. Do dużego słoja wlewało się dwa litry wody, dodawało kilka łyżek cukru i wrzucało grzybek. Gdy było ciepło, po kilkunastu godzinach woda zamieniała się w lekko kwaskowaty napój. Wystarczyło tylko odcedzić grzybek na sitku i nastawić następną porcję. Podobnego grzybka używali sąsiedzi do robienia mlecznego kefiru, ale u nas nie było krowy i mleka wystarczało jedynie na poranną zupę i bawarkę.

W Łochowie zdarzało mi się jeść typowo wiejskie „specjały”. Wiosną była to lebioda i młoda pokrzywa przyrządzana tak jak szpinak. Potem zbierano po miedzach szczaw na zupę. Latem opalałem nad ogniem pszeniczne kłosa i wyjadałem miękki ziarenka. Gdy kwitła akacja, można było wysysać słodki sok z nasady jej kwiatów. Jesienią wraz z kolegami z czworaków raczyliśmy się, surową lub pieczoną w ognisku, brukwią i rzepą. W czasie powrotów ze szkoły, gdy na rampie kolejowej ładowano buraki cukrowe, zdarzało się nam odkroić scyzorykiem kawał żółtego miąższu. Burak jest włóknisty i twardy, ale gdy się go odpowiednio długo żuje, to nabiera słodkiego posmaku. Największą jednak atrakcją były pieczone w popiele ziemniaki i małe zimowe jabłka. A jeszcze później, w końcu października, ulęgałki. Zagrzebane głęboko w słomie dojrzewały i fermentowały, aż nabrały miękkości i szcerniały. Dopiero wtedy zjadało się je w całości, wyrzucając jedynie ogonek. Oczywiście w domu były także inne, dziś mało popularne potrawy. Jak przez mgłę przypominam sobie smak pierogów z serem i kaszą, kołdunów, specjalnego smalcu z drobnymi, chrupiącymi skwareczkami. A zupa z dyni z lanymi kluseczkami, zupa piwna z suszonym serem czy też zupa „nic”?!

Wiele by jeszcze można pisać o stołowych wspomnieniach, o melonach wyhodowanych w ogródku, o różanej konfiturze, o zupie z łochoń, po której przychodziły słodkie sny i o wielu, wielu już zapomnianych nawet z nazwy smakach i woniach. Wszystkie te wspomnienia łączyły się ze stołem i jego magiczną rolą.

Dokończenie nastąpi.

[Białystok, 7.10.2006 r.]

Tadeusz Ruffiński

Kazimierz Słomiński

F R A S Z K I
(2024)

TAKA POKRZYWDZONA

Koronę ma już orzeł,
a reszka mieć nie może.

TAKA PONĘTNA

Niech tam sobie ęci,
a ja nie mam chęci.

REKLAMA

Im nachalniejsza reklama,
tym więcej w niej zakłamań.

I TAK BYWA

Choć nie poszła w las nauka,
to we łbach jej próżno szukać.

KOBIETA

Samo słowo „kobieta”
brzmi poniekąd jak podnieta.

ZERO

Zero pozostanie zerem.
Bez względu na karierę.

Z GAŁCZYŃSKIEGO

Co tu mówić o powabach,
gdy przed nami *strasna zaba*.

Z MICKIEWICZA

Na nic się zdadzą harfy eolskie,
bo *żadne żaby nie grają tak pięknie jak
polskie*.

NIEWESOŁO

Kiedy z górą niewesoło,
przy korupcji kwitnie swolocz.

NA STAROŚĆ

Człowiek niby jeszcze młody,
tylko w nogach nie te chody.

ŚLEPOTA

Impuls do duszy nie dotarł,
stąd niejedna jest ślepota.

SUPERMARKET

Nie jest wcale taki super,
kiedy obcym tuczy kuper.

PODŁE CZASY

Dziś nie wiara, lecz obluda
chce w Europie czynić cuda.

REFLEKSJA NA DZIEŃ CHŁOPA

Gdy ustanowią dzień obojnaka,
święto mieć będzie i pleć nijaka.

PO ROZUM

Pójść do głowy? Toż to głupie,
gdy ten rozum ma się w dupie.

W SERCU

I po miłostkach bywają blizny
w sercu mężczyzny.

GRA W ZIELONE

Nie zabraknie w świecie chętnych
grać w zielone prezydenty.

LUDZKIE WNĘTRZE

Nie każdego czleka wzrusza,
że się gdzieś w nim tuła dusza.

PARADOKS

Pośród ośmiu miliardów ludzi,
że już kimś jest – człek się ludzi.

OBLICZE USTROJU

Choć o demokracji wciąż się krzyczy,
ustrój u nas jest pasożytniczy.

POLSKIE REFORMY

A w nieszczęsnych tych reformach
swój interes ciągle czort ma.

O KORYCIE

Do koryta nie zmierzam,
wolę skromniej – z talerza.

TRUCIE

Przez medialne podtruwanie
cóż z rozsądku nam zostanie?

TACY NASI

Obcym ważniakom nie dziw się wiele,
bo to są nasi zawłaszczyciele.

POGRAŻENI W CIEMNOCIE

Pośród zwidów i urojeń
też podobno widzą swoje.

NASZA STOPA

Tak sobie chodzi stopa życiowa,
że zawsze w coś tam wdepnąć gotowa.

WIERSZ BIAŁY

Lepiej czasem, by została
zamiast wiersza kartka biała.

WIERSZ RYMOWANY

Kiedy w piętę z nim gonimy,
cała para idzie w rymy.

ZAKŁAMANE CZASY

Nawet nadzieja
się wykoleja.

NIE TYLKO W EUROPIE

Mam pytanie pryncypialne:
czy coś jeszcze jest normalne?

GŁOS

Głos rozsądku źle się liczy,
bo go zawsze coś przekrzyczy.

MIŁOŚĆ DO KONSUMENTA

Reklama ściemnia,
a truje chemia.

ŚWIAT WIRTUALNY

Też ma swoje upiory.
Kiedy jest chory.

KONKLUZJA

A w realu nade wszystko
lepiej być już realistą.

BELKOT MEDIALNY

Po to belta błękit w głowie,
by zbyt mądrym nie był człowiek.

AKT

Cielesna powłoka
cała na pokaz.

KRYTYKA

Gdy od siedmiu jest boleści,
to nie dla niej głębia treści.

OBYCZAJOWOŚĆ

Taka dziś u nas obyczajowość,
że już nie zraza nas to i owo.

CZASY, OBYCZAJE...

O tempora, o mores!
Jedno i drugie dziś jakieś chore.

MORALNOŚĆ

Po to moralność nas ogranicza,
żeby obyczaj zbytnio nie dziczał.

ETOS

Etos pracy to nie wszystko,
jest i etos od wyzysku.

FRASZKA

I jej nieraz się udaje
śmiechem poprawiać obyczaje.

PORNOGRAFIA

Bo to podobno jest takie łajno,
co nam chce szerzyć nieobyczajność.

POTRZEBA ŁADU

Porządek łagodzi obyczaje
i łatwiej szanować się nawzajem.

O ŚWIEŻOŚCI

I śmietanka towarzyska
może być cokolwiek skisła.

NIEBOGA

Gdy zbyt chętna jest nieboga,
nie ma w głowie, lecz ma w nogach.

TAKI NIEPOPRAWNY

Kain zabił Abła
i do dziś rozrabia.

POSTULAT

Może się i spełni w końcu
po stu latach lub tysiącu.

ENERGIA

Gdy zakłęta w dobrym słowie,
to pożytek ma z niej człowiek.

MODA

Lubi miewać krzyk ostatni
jak goliznę uwydatni.

ZDROWIE

Trudno zdrowym się uchować,
zawsze diabeł coś popsowa.

POGODA

Choćby wokół zawierucha,
ważna jest pogoda ducha.

PRACA

Tak stworzyła nam człowieka,
że wciąż od niej chce uciekać.

PAMIĘĆ

Dobra pamięć to dar boży –
z inklinacją do sklerozy.

DROGA

Najważniejsze, byś w potrzebie
mógł tą drogą dojść do siebie.

SĄSIADKA

Nie widzi mi się sąsiadka,
bo to *piersiona non gratka*.

PIENIĄDZ

Choć panoszy się ten pieniądz,
ludzie z pustą są kieszenią.

BEZMYŚLNOŚĆ

Jej skuteczność jest bezbrzeżna,
bo potrafi uzależniać.

MORALNOŚĆ

Z moralnością jest ta bieda,
że nie zawsze chce się sprzedać.

CZOŁOBITNI

Czołobitni hipokryci
też nie zawsze w ciemię bici.

ZERO

Ma te swoje okrągłości,
tylko w środku pustka gości.

HISTORIA

Że historia wciąż utyka?
Winna temu polityka.

REKLAMA

Jak na boży świat wyskoczy,
to biednemu zawsze w oczy.

PARAGRAF

I on czasem jest małuczki,
gdy go chcą zadziobać kruczki.

WŁADZA

Upierdliwa bywa władza
jak już zacznie się wyradzać.

SWOBODNIEJ

W lesie podniet
diabeł czuje się swobodniej.

KRĘGOSŁUP IDEOWY

Przez to ważny jest szalenie,
że łączy głowę z siedzeniem.

PIENIĄDZ

Tak już pieniądz rządzi światem,
by brat bratu był psubratem.

NIE TYLKO W MEDIACH

Odmienne stany
prawdy załganej.

LEPIEJ

I w sprawach sercowych
lepiej nie bez głowy.

METAMORFOZA

Sflaczał wykrzyknik, zaczął się slaniać
i się przekształcił w znak zapytania.

AMOREK

Przez te skrzydełka, przez ten wisiołek
niejedno może spocić amorek.

WIATRAK

Choć powietrze skrzydła miała,
nie pofrunie, bo to nielot.

W MÓZGU

Znajdzie się miejsce i dla diabelka,
by mógł obrywać myślom skrzydełka.

NIKE

Bez rąk, bez głowy jej posąg cały,
tylko nieszczęsne skrzydła zostały.

GRAFOMAN

Choćby i weną był uskrzydłony,
zamiast arcydzieł piętrzy androny.

ROZBIORY

Czarne orły – trzy straszydła
wzięły nas pod opiekuńcze skrzydła.

BRZYDKA POLITYKA

Bo upiorne jakieś teraz
lepszą przyszłość nam pożera.

GWOŹDZIE

Gwoździ czasem używamy
na zupy lub na programy.

WŁOS

Przez ambicję czyjaś chorą
można dzielić go na czworo.

POCIĄG DO ALKOHOLU

Tę tendencję ma nieładną,
by pociągać czleka na dno.

MOWA WIĄZANA

Rzecz kompletnie niezbadana,
z czym dziś może być wiązana.

ZŁOTE MYŚLI

Gdy karatów brak w tombaku,
to z tym złotem jest nijako.

PRZYSZŁOŚĆ

Trudno jej się dziś doczekać,
bo nam w przeszłość wciąż ucieka.

KUDŁATE MYŚLI

Wcale nie są takie wstrętne,
tylko z lekka obrośnięte.

KŁĘSKA URODZAJU

Dziś powszechnie jest wiadome:
obrodziły oszołomy.

FISKUS

Ten to zawsze miewa zapęd,
by mi w kieszeń wsadzać łapę.

PIĘTA ACHILLESOWA

Gdzie się chowa? Mówiąc w skrócie
to najczęściej w ludzkiej bucie.

PRYMITYW

I cóż z tego, że prymarny,
gdy w przejawach taki marny.

PODŁE CZASY

Po Europie krąży widmo
i do dziś mu to nie zbrzydło.

POLITYKA

Co powiedzieć mogę o niej?
Służy diabłu i mamonie.

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Ciągle zwęża się i szerzy,
nie tak łatwo ją wymierzyć.

INSTRUMENTY

Więcej takich by się zdało,
żeby przy nich wszystko grało.

SMOG

Atmosfera to niezdrowa,
kiedy buja w naszych głowach.

W PIEKLE

W piekle grzesznik już na starcie
dość gorące ma poparcie.

ZNACZENIE I PRZEZNACZENIE

Niezależnie od znaczenia
nie unikniesz przeznaczenia.

DEMOKRACJA

Zawsze znajdzie jakiś sposób
na pognębienie demosu.

LITERA PRAWA

Jeśli szukać w alfabetach,
to wychodzi, że wciąż nie ta.

INFLACJA

Skąd inflacja? Sekret zdradzę.
Przez ten nadmiar zer u władzy.

NA ZAKRĘCIE

Gdy historia na zakręcie,
to się mnoży w piekłowzięcie.

UŁUDA

A ułuda to paskuda,
co nam każe wierzyć w cuda.

NAGI INSTYNYKT

Nagi instynkt działa swoje,
kiedy ma się go we dwoje.

GÓRA

W polityce to się czuje,
że wciąż góra nas dołuje.

LITERATURA PIĘKNA

Gdy w niej dojrzysz trochę piękna,
to odczujesz, że swój wdzięk ma.

IDIOTYZM

Nie lekceważ idiotyzmu –
najważniejszy z wszystkich –izmów.

„JA” LIRYCZNE

Już przestaje być tak śliczne,
gdy się robi deliryczne.

MUZA

Na sam widok wierszoklety
wzdryga czasem się, niestety.

OGNISKO DOMOWE

Trochę dymu, trochę czadu,
I już trudniej dojść do ładu.

PIERWSZY PO BOGU

Już od stworzenia świata
tym pierwszym chce być szatan.

ZERA

Ważne mogą być i zera,
gdy od środka je rozpiera.

NORMY

Czasem to aż mamy dość ich,
gdy źle służą normalności.

W NIEBIE

Prócz aniołów tam u góry
są gdzieś czarne dziury.

WIELKI BRAT

Jak się zrobi skośnookim,
zwać się będzie Wielkim Smokiem.

Z PALCAMI

Po maczaniu tak już bywa,
że aż chce się odżegnywać.

GOSPODARKA

Czy planowa, czy plajtowa,
jakoś ciągle jest niezdrowa.

HASŁA

Wzniosłe hasła ideowe
wciąż się wznoszą ponad głowę.

KOŁO FORTUNY

Koło fortuny jest niewesoło,
kiedy zbyt wielu wpada pod koło.

POLITYKA KULTURALNA

Ciągle świat się z tym boryka,
by kulturalną była polityka.

WIELKOŚĆ

Człowiek miarą jest wielkości,
reszta – to już przyległości.

WOLNOŚĆ

Dzisiaj już sięga szczytu
przy rzeszach wolnych najmitów.

HAPPY END

Znaczy to „szczęśliwy koniec”.
Najlepiej przy własnej żonie.

WŁADZA

Spod kontroli się wymyka,
bo z natury jest dość dzika.

ZAPOMINALSKA

Raz się zapomniała koza,
lecz to nie była skleroza.

DO BOGINI

Piękność twą w całej krasie
w tej fraszce opiewa się.

Z FIZJOLOGII

Motyłki brzuszne
popędom posłuszne.

PRZYPOMNIENIE

Wytworna Łaszka
to nie dodatek do fatalaszka.

K a z i m i e r z S ł o m i ń s k i

TAKIE POLSKIE IMIĘ KAZIMIERZ

Piękne polskie imię Kazimierz. Dynastyczne, królewskie, typowo polskie. Na tyle polskie, że podczas okupacji w Wielkopolsce Niemcy każdemu nowo narodzonemu Polakowi na drugie imię postanowili wpisywać właśnie Kazimierz. No może jeszcze gdzieś francuskie. Zdarzyło mi się nawet napotkać Murzyna Kazimierza z byłego francuskiego Konga.

Tyle tylko, że nie wiadomo, jakie treści znaczeniowe legły u jego podstaw. Napisałem nawet fraszkę: *Dziwne imię jest to raczej, / bo nikt nie wie już, co znaczy.* A z czym by mi się mogło przewrotnie kojarzyć, wyjaśnia aforyzm: *Kazimierz – to brzmi jak przyrząd do mierzenia skażenia.*

A co niby może oznaczać, wyjaśnia choćby Wikipedia: **Kazimierz** – *współcześnie przyjęta forma [staropolskiego imienia](#) męskiego **Kazimir** (z odmiankami **Kazimirz**, **Kazimiar**, **Kazimier**, **Każmir**, **Każmisz**), składającego się z członów: Kazi- („niszcz, psuj, niwecz” od kazić „niszczyć, psuć”, porównaj współczesne od-kazić „od-psuć”) i -mir („pokój, spokój”). Oznacza „ten, który (niech) niszczy pokój” – niszc pokój! = *każ mir!* (staropolskie *kazi mir!*). I pomyśleć tylko, że imię mojej żony – Irena – ma znaczenie przeciwstawne: **Irena** (*gr. εἰρήνη [eirene]* – pokój). Tyle tylko, że to już imię nie słowiańskie, ale greckie. A więc wychodzi mi, że nasze imiona mówią, że coś nie tak z tym pokojem. Ale mi się z tym imiennictwem dostało!*

Może i mógłbym się pocieszać, bo zdarza się jeszcze i drugie tłumaczenie: ten, który ma głosić własną sławę albo być głosicielem pokoju (od „kazati” – kazać, prawić, mówić). I bądź tu mądry i pisz wiersze!

Kazimierz – to imię tajemnicze. Dwuczłonowe, jak wiele imion słowiańskich, wywodzących się z pradawnego indoeuropejskiego areału. Korzenie sięgają pewnie czasów jeszcze sprzed podziału języków indoeuropejskich na satemowe i kentumowe. Zachodziły przemiany w wymowie głosek, przede wszystkim palatalizacja (zmiękczenie) tzw. spółgłosek tylnojęzykowych (k, g, ch – na z, s, dz itp.). Przykładem niech będzie imię Jarosław, którego grecki (kentumowy) odpowiednik brzmi ni mniej ni więcej, tylko Herakles. W tym przypadku jest to imię teoforyczne, pierwszy człon to Hera, Zara (pierwiastek żeński). Czyli nasz Sławek to grecki Kleon. Zaś w imieniu Kazimierz pierwszy człon jest raczej nieczytelny i nie napotykamy go w innych słowiańskich imionach. Szeroko rozpowszechniony jest człon drugi (w imionach kończących się na –mir).

Początki tego imienia gubią się w pomroce dziejów. Pojawia się ono w dynastii piastowskiej. Pierwszy miał je nosić Kazimierz Odnowiciel, jedyny z Piastów, któremu udało się ostać po śmierci Bezpryma, Ottona, Dytryka, Mieszka II, Bolesława Zapomnianego i Masława. U początków dynastii mamy imiona słowiańskie nasze lub rodem z Czech, powoli przenikają germańskie. Przez dłuższy czas u rządzących powtarza się sekwencja imion: Bolesław – Mieszko. Nie jest wykluczone, że synami Mieszka II mogli być Bolesław Zapomniany (miał być koronowany) tudzież Masław. I ni z tego ni z owego pojawia się Kazimierz z zachodnim imieniem Karol, który pierwotnie miał być podobno przeznaczony do stanu duchownego. Urodził się za czasów Bolesława Chrobrego w roku 1016 jako syn Mieszka II i jego żony – Niemki Rychczy. A co, jeżeli jakimś cudem imię Kazimierz miało rodowód germański? Wszak i tam z rzadka zdarzają się imiona z drugim członem –mar (choćby Waldemar to podobno duńska forma od Włodzimierz).

Wiek XI jest słabo odnotowany w kronikach. Była reakcja pogańska, najazd Brzetysława, oprócz łacinników byli i chrześcijanie słowiańscy. Były podobno dwie metropolie, w tym słowiańska w Krakowie. Być może przez cały XI wiek istniało słowiańskie arcybiskupstwo, a po śmierci Arona biskupstwo w Krakowie (aż do złożenia z urzędu biskupa Czaśława po przejęciu Małopolski przez Bolesława Krzywoustego). Niestety, przekazy słowiańskie nie uchowały się, a to i owo trzeba było z dziejów wymazać. A szkoda, bo być może mielibyśmy historię państwa małopolskiego istniejącego aż do czasów Bolesława Chrobrego i imponującą historię obrządku słowiańskiego na ziemiach polskich (to nic, że gdzieś i skażonego bogomilstwem) od wieku X do początków XIV. W tych wiekach historię uwieczniał Kościół łaciński.

Bolesław Śmiały i jego syn Mieszko nie okazali się jednak kontynuatorami dynastii. Na szczęście był jeszcze Władysław Herman. Tu znowu niespodzianka, bo jego starszym synem był Zbigniew. Też nie bardzo wiadomo, co imię to znaczy, a mimo to stało się u nas bardzo popularne. Dobrze jeszcze, że Zbigniew, a nie na przykład Spitygniew. Jednak trwałość dynastii zapewnił Bolesław Krzywousty. Od jego też czasów jej przedstawiciele przestali być oślepiani, a z rzadka tylko mordowani. I chyba dzięki Krzywoustemu imię Kazimierz nie zagięło w pomroce dziejów. Synom swoim nadał imiona: Władysław (czeskie Wratysław, pomorskie Warcisław), Leszek (zmarł w dzieciństwie), Kazimierz tzw. Starszy (zmarł w dzieciństwie), Bolesław, Mieszko, Henryk. I jeszcze Kazimierz Sprawiedliwy, który być może był pogrobowcem. Śmiem uważać, że dzięki temu właśnie Kazimierzowi imię to na trwałe utrwaliło się w dynastii, chociaż jego rozrzut nie jest przypadkowy. Przede wszystkim dotyczy to potomków Kazimierza Sprawiedliwego w linii kujawskiej i mazowieckiej. To właśnie z linii kujawskiej wywodzi się Kazimierz Wielki. W linii wielkopolskiej imię to nie występuje. Pojawia się jeszcze w linii śląskiej, ale to też dzięki Kazimierzowi Sprawiedliwemu. Układ stosunków pomiędzy książętami tak się ukształtował, że był on ojcem chrzestnym Kazimierza I, księcia opolsko-raciborskiego, syna Mieszka Płatonogiego. Zaś wśród potomków Bolesława Wysokiego (linia wrocławska) imię nie występuje. Kazimierz III Wielki, Kazimierz IV Jagiellończyk oraz jego syn – święty Kazimierz spowodowali, że imię to weszło na stałe do kanonu najbardziej popularnych polskich imion, chociaż raczej nigdy nie trafiało do najściślejszej czołówki. Imię, dosyć popularne jeszcze po II wojnie, obecnie nie jest aż tak często nadawane. Być może wymienianym władcom można przypisać te lub inne niedociągnięcia, ale Kazimierz Wielki i Kazimierz Jagiellończyk stworzyli podstawy potęgi Rzeczypospolitej. To o Jagiellończyku na przykład mawiano: *Król od morza do morza, tylko brzegi nie jego*. Jednak przez wiele pokoleń Habsburgowie musieli tego się wysilać, aby zawłaszczyć Polskę, a i to tylko po części.

Zagadką pozostaje występowanie imienia Kazimierz wśród książąt zachodniopomorskich z linii Gryfitów. Jest co prawda hipoteza, że mogli oni być poboczną linią dynastii piastowskiej. Kazimierz I (ur. przed 1135), syn Warcisława I (to pomorska forma imienia Władysław), był księciem pomorskim wraz z bratem Bogusławem I, a potem księciem dymińskim. Być może przyczynił się do tego Bolesław Krzywousty, który podporządkowywał sobie Pomorze. Kazimierz VII (IX), książę darłowski-bytowski był biskupem kamieńskim (ewangelickim) w latach 1574-1602. W XIII wieku imię Kazimierz pojawia się też u Świętoborzyców, bocznej linii Gryfitów.

Na podsumowanie refleksja: na Rusi (tej moskiewskiej) bywały przydomki: Dołgorukij, Srogi, Groźny... Nie to, co u nas: Odnowiciel, Sprawiedliwy, Wielki... I tym optymistycznym akcentem...

Hmm... na tym miałem zakończyć. Przypomniałem sobie jednak dość dosadne powiedzenie: *pieprzy jak mały Kazio*. Do jego powstania przyczynił się Kazimierz Grus (1886-1955), wybitny rysownik, karykaturzysta, w latach 1918-1926 mąż Mai Berezowskiej. No i twórca serii dowcipów rysunkowych o małym Kaziu.

Nieco bibliografii:

- Bogdan Kupis. *Najciekawsze imiona*. Wydawnictwo Archidiecezji Warszawskiej, Warszawa 1999, s. 173-175.
- Н. Н. Казанский. *К этимологии теонима „Гера”*. W: *Палеобалканистика и античность. Сборник научных трудов*. Наука, Москва 1989, s. 54-58.
- Zbigniew Dobrzyński. *Obrządek słowiański w dawnej Polsce. Część I, II, III*. Warszawska Metropolia Prawosławna, Warszawa 1989.
- Frank Kmietowicz. *Kiedy Kraków był „trzecim Rzymem”*. Orthodruk, sp. z o.o., Białystok 1994.
- Jacek Hertel. *Imiennictwo dynastii piastowskiej we wczesnym średniowieczu*. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa – Poznań 1980.
- Kazimierz Grus. *250 razy mały Kazio*. Wydawnictwo Karuzela. Łódź 1957.

[Listopad 2024].

Kazimierz Słomiński

„OKRUCHY” ZOFII WRÓBLEWSKIEJ

Zofia Wróblewska jest osobą niepełnosprawną, poruszającą się na wózku inwalidzkim. Po śmierci matki zamieszkała w Domu Pomocy Społecznej w Brańsku. Jest poetką, autorką tomików wierszy „Ocalić dzień” (2010), „Zapach czasu” (2013). Ostatnio ukazał się jej trzeci zbiorek „Okruchy”.

„Okruchy”, jak sam tytuł wskazuje, to zestaw 101 miniatur poetyckich w trzech częściach: „Kilka słów o miłości”; „Chwila refleksji”; „Czas ludzi”. Pierwsza część dedykowana jest Tomkowi. We wstępie do tomiku Artur Konrad Żołądź odnotował: *Pierwsza część zbioru swoją tematyką obejmuje miłość wraz ze wszystkim, co ona ze sobą niesie. (...) Miłość jest nie tylko uczuciem o – wydawałoby się – abstrakcyjnym wymiarze. Jest to także uczucie, pozwalające się wyrazić w sposób poznawalny poprzez zmysły. To, co łączy podmiot liryczny z obiektem miłości, to dotyk, powietrze, zapach, a także wzajemne pobudzanie do działania.* (str. 8). W wierszu „Pozytywny” czytamy: *Jesteś moją energią / Impulsem do działania / Jesteś / I już chce mi się chcieć / Moja prywatna akademія / Pozytywnego myślenia o życiu / Nawet jeśli nasza randka trwa kwadrans / Lub widzimy się tylko w przelocie* (str. 24). Zaś w innym wierszu: *Między nocą a świtem / Moje sny mieszają się z marzeniami / O Tobie* (str. 23).

Ważną rolę w rozważaniach autorki odgrywa czas. Stykamy się z nim już w wierszu inicjującym zbiorek: *Przeszłość – kilim utkany bolesnymi / wspomnieniami / Przyszłość – znika z horyzontu widzenia / Jest tylko teraźniejszość malowana małymi / radościami / Z których buduję własną krainę* (str. 15). Z zagadnieniem czasu łączy się motyw przemijania. Jego metaforę odnajdujemy w wierszu „Zimowe niebo”, zamykającym tomik: *Biel obłoków plami błękit nieba / Mocna kreska światła przecina je w pół / I róż rozlewa się po większej części / A słońce jak po równi pochyłej / Toczy się niżej i niżej / Wpadając w niewidoczną przepaść / Tak dzień żegna się ze światem* (str. 85). Warto zwrócić uwagę na taki wiersz, jak „Wyznanie wiary”: *Kim jesteś dla mnie / Jezua – Jezu (...) Czasem trudno mi iść Twoją drogą / A jeszcze trudniej powiedzieć szczerze / Bądź wola Twoja / Nie tylko w modlitwie* (str. 69). Albo „Nietykowa prośba”: *Kiedy kończę rozmowę z Jezusem / Proszę Go by ucałował Rodziców / Przytulił moje psy i koty / I pozdrowił Buddę / Nietykowa prośba / Podyktowana nietykową wiarą* (str. 41). Gdzieś w tle tych poetyckich przemyśleń i obrazów przeżywanych chwil przewija się wyobrażenie o drodze ludzkiej duszy, o cyklu kolejnych wcieleń, znanym choćby z filozofii Wschodu. O cyklu kończącym się połączeniem z Absolutem, z Nieskończoną Miłością (wiersz „Samsara”, str. 31).

Czas i chwila... Piękno chwili uchwycone poetycką miniaturą. Choćby taką: *Być z Tobą / Rozpłynąć się w Tobie / I zniknąć. / A czas nareszcie się zatrzyma* („Pragnienie”, str. 21). Miłość i piękno przenika też obrazki przyrody, których jest w zbiorze немало: *Góry przeglądają się w tafli jeziora / Jak w dużym lustrze / Niebo całuje ich szczyty / Jak chłopak włosy ukochanej* („Widok”, str. 53).

Sięgnijmy znowu do wstępu: *W ostatniej części zbioru spotykamy się przede wszystkim z ludźmi. Czas, będący przecież tak bardzo ludzkim z nieludzkich praw fizyki, stabilizuje się. Poetka coraz częściej pragnie łapać chwilę w najróżniejszych jej postaciach, zaś owo carpe diem nierozzerwalnie łączy się z najważniejszymi osobami. To one nadają czasowi tymczasowy charakter i pozwalają złagodzić skutki biegu zegara.* (Str. 9-10). W szeregu wierszy pojawiają się dedykacje. Swą obecność zaznaczają też najbliżsi, którzy odeszli – matka i brat.

Uwagę przyciąga kunszt tych miniatur, formy bądź co bądź nietatwej. Potrafią zadziwić wyczuciem słowa i głębią przemyśleń. Ot, choćby takie zdanie, które mogłoby stanowić odrębną wypowiedź: *Najlepszą przyjaciółką mgły / jest melancholia* (str. 58). Albo: *Wszyscy Tworząc / Znieczulamy się / przed bólem istnienia* (str. 60).

„GALAKTYKA CZTERECH ŚCIAN”

*na wyciągnięcie ręki
jest życie
jego zdumiewająca zwyczajność
darowana jednak
nam ptakom i liściom
(s. 11).*

Tak rozpoczyna poetyckie rozważania o życiu podlaska poetka Leonarda Szubzda. Dalej w tym wierszu pisze:

*czy rozumiemy się chociaż powierzchownie
z wielkooką rybą jaskółką brzemieną jabłonią
nie mówiąc o Bogu
w którego szczęściarze
wierzą bez szukania dowodów
na istnienie
wystarcza im zachwyty
cudem codzienności
(s.11).*

Ale w życiu pojawia się zagubienie, bo

*zanim opanowaliśmy umiejętność mowy
pomocnej w zrozumieniu innych
na obrzeżach wzajemnego lęku
wyrosło między nami milczenie
(s.12),*

a

*tam gdzie lodowiec
nic nie pozostawił
ze słów kamieni
ze słów uczynków
coraz wyższe moreny
obojętności
(s. 13).*

I choć Bóg *codziennie od nowa* stwarza, lepi doskonałość, podmiot liryczny pyta:

*a skąd w nas
drewniane serca
szklane oczy
puste usta
coraz grubsza skóra
(s.15)*

On wciąż czeka,

*a my błądzimy po drogach
przy których zasypiano wszystkie studnie*

*gdzie mamy napelnić puste dzbany
ugasić pragnienie*
(s. 16).

Nieodłącznym tematem wierszy Leonardy Szubzdy jest przemijanie, nieuchronna starość, pożegnania, dotykanie pamięci.

*kolejne dni spadają z kalendarzy
drzewa zrzucają pożegnalne liście
na każdy ślad
odciśnięty w kamieniu
na naszą małą
wieczność*
(s.20).

Ślad odeszłego czasu jednak pozostaje.

Babka Anna

*często krzyczała przez sen
wciąż jej się śniła wojna
pożar dopadał łóżka
(...)
nie mogła obudzić się z tamtego czasu*
(s. 22).

Odeszły czas skrywa też Ojcowizna.

*linią horyzontu spięta z niebem
(...)
w pamięci koleiny losów
wymazane z map święte nazwy
mroczne dni z orłem bez skrzydeł*
(s. 34).

Żarnowo, Suchowola, Augustów, Minkowce, Chicago z różnych powodów zawładnęły struną poetycką Leonardy Szubzdy. Brat, poetka Józefa, poetka Irena, kobieta z Minkowiec, Jan Leończuk – oni też wpisali się w twórczość sokólskiej poetki.

Tom poetycki „Galaktyka czterech ścian” zawiera 33 wiersze i 3 collage jej autorstwa. Jeszcze jeden collage został umieszczony na okładce. Książkę poetycką wstępem opatrzyła dr Ilona Gołębiowska (pisarka, poetka), zaś posłowie napisała Małgorzata Glińska.

Poezja Leonardy Szubzdy przemawia do czytelnika uniwersalnym językiem i ważnymi tematami.

Dlaczego „Galaktyka czterech ścian”? Ano dlatego zapewne, że w czterech ścianach mieszczą się galaktyki myśli, galaktyki wspomnień, uczuć, emocji. W czterech ścianach mieści się wszechświat człowieka, galaktyka słów, dźwięków, obecności i nieobecności.

Zachęcam do wniknięcia w głąb tej galaktyki.

K r y s t y n a G u d e l

Leonarda Szubzda. *Galaktyka czterech ścian*. Sokólski Ośrodek Kultury, Sokółka [2024].

„STRZEŻCIE POEZJI GDZIEKOLWIEK JESTEŚCIE”

*trzeba przykładać ucho do ziemi
by słyszeć źródło z głębin
zapomniane w nabrzmiałej rozpacz
(T. Karabowicz, s.12)*

Tom poetycki Tadeusza Karabowicza pt. „Ślady niespodziewane na przełaj” to najnowszy zbiór 21 wierszy.

Tematem przewodnim kilku z nich, a nawet więcej niż kilku, jest przemijanie. Symbolem owego przemijania, natchnienia, wolności jest wiatr. W „Biblii” to zapowiedź Boga: *A oto Pan przechodził, a wicher potężny i silny szedł przed Panem* („Księga Królewska”).

W pierwszym wierszu poeta zapisuje:

*Wiatry wiały porywiste
a Odkupiciel patrzył na krę
płynącą na przełaj i ryby płynęły w topieli wiosny
a brzegiem rzeki wędrowało moje zamyślenie
i modlitwa*

(„Wiatry wiały”, s. 10).

W wierszu „Paruzja” podmiot liryczny prosi:

*wieście wiatry porywiste
ponad naszym bezbronny miastem
aż do Drugiego Przyjścia
to znaczy końca dziejów
(s.13).*

Ale też wie, że pozostanie po nim

*(...) wiersz niedopisany na pustkowiu
nad ranem kartkami książek
szeleszczący wiatr
(s. 17).*

Są też wilki jako symbol odwagi, ochrony, mądrości. W średniowieczu uznawane jako nieokiełznane natury, jako służące nieczystym siłom.

Oczekiwanie na spotkanie też było naznaczone echem wycia wilków, a klucz żurawi, któremu podmiot liryczny zaufał, niech unosi się

*(...) teraz nad mleczną pustynią nocy
jak stada wilków

i wycie
ponad moim czekaniem
(s. 25).*

*Rzeka, droga, zapach miodu
nagrzanego płonącym słońcem
unoszą się teraz nad sadem*

*lepi się do mitu trwającego na obrazie
i oświetla glinianą misę z woszczyzną*

na stole

(„Plastry miodu”, s. 27).

One wiodą ku wspomnieniom, które bledną i płowieją, a Poezja zostaje. Poeta, poprzez podmiot liryczny, wyraża prośbę:

*strzeżcie Poezji gdziekolwiek jesteście
obnażeni z szat na Sądzie Ostatecznym*

*zagubieni w nicości naiwnego myślenia
że życie trwa wiecznie
i nie przemija*

(„Znowu powraca Poezja”, s.22).

Poezja Tadeusza Karabowicza dotyka życia na wskroś, na ziemi i pod obłokami, w nurtach rzeki i aż po horyzont, pomiędzy ziemią a niebem. Wieje, świeci się, płynie, cichnie w burzy nad urwiskiem, pachnie. I choć życie przemija, pozostaje ślad – Poezja.

*tak się zaczyna i kończy życie
ale czemu ślady niespodziewane
w poprzek drogi na przelaj*

(„Droga”, s. 29).

Ale czemu? Pytanie pozostaje otwarte. Niech na nie odpowie czytelnik, bo warto powędrować poetyckim szlakiem Tadeusza Karabowicza.

K r y s t y n a G u d e l

Tadeusz Karabowicz. *Ślady niespodziewane na przelaj*. Wydawnictwo Pisarze.pl, Warszawa 2024.

R o m a n K o w a l e w i c z

ŻYCIE JEST SNEM CZY SEN JEST ŻYCIEM?

„Zdarzenia nie do uwierzenia” autorstwa Reginy Kantarskiej-Koper wzbudzają zainteresowanie „dziwnością” tematyki. Wprowadzają nas w świat mało znany przez ogromną większość społeczeństwa. Fruwające doniczki, tajemnicze głosy, odczuwanie i widzenie przyszłych wydarzeń niejednokrotnie w sposób koszmarny w snach uświadamiają nam odwagę bohaterki owych zdarzeń Krystiany. Można by je potraktować jako science fiction, gdyby były powiązane tylko z życiem bohaterki, a nie jej rodziny, która posiada również podobne doświadczenia i może zaświadczyć o ich autentyczności. Bohaterka opowiadania urodziła się po wojnie, ale podświadomość trzyletniej dziewczynki już wtedy odbierała zjawiska paranormalne związane z okrucieństwami wojny, nie bardzo je rozumiejąc. Możemy tylko sobie wyobrazić, co przeżywało małe dziecko.

Spędziła wiele lat na odkrywaniu Prawdy, przechodząc zwątpienie, obawy przed zwariowaniem i zmaganie się z inną – najczęściej nieprzyjemną – rzeczywistością. Osoba, która ma

kontakt z drugą stroną życia, jest narażona na wyśmianie, lekceważenie, traktowanie z politowaniem jak ktoś niespełna rozumu. Widzenie przyszłości, lewitacja, telekineza, hipnoza, śnienie itp. były znane od wieków, opisywane w starych, świętych księgach.

W każdym z nas drzemią właściwości Boże, dane nam od początku naszego istnienia. Tylko nieliczni mają możliwość ich obudzenia w sobie. Pierwsi ludzie odczuwali cały wszechświat i przenikającą się duchowość z fizycznością. Nadawali znaczenie zwierzętom, sprowadzali deszcze, kreowali swoją przyszłość, tworzyli półbogów. Upiększali przyrodę. Nie niszczyli nawet najmniejszego życia (robaczka). Byli twórcami podobnie jak Bóg. Po wtargnięciu zła następował powolny upadek i utrata talentów Boskich poprzez przeinaczenie Prawdy. Zanurzenie w materię i coraz szybszy rozwój techniki spowodował wśród ludzi ślepotę duchową, która powiększa się coraz bardziej.

Regina Kantarska-Koper to osoba odważna, wrażliwa na ludzi i duchowość. Jest uważną obserwatką życia, czułą na krzywdę, ból innych i coraz bardziej wykoślawiony świat. „Trzeba tylko dbać o to, aby nie pomnażać zła, czyli dbać o swoje dobre myśli, dobre słowa i czyny”. To jej przewodnia myśl życia, która powinna być również w każdym z nas. Oczywiście jest (nie dla wszystkich), że bez rozwoju świadomości duchowej umysłem bardziej wypaczamy niż postrzegamy świat. Co zostało udowodnione nawet przez naukowców. O tym mówił również Chrystus.

Niezależnie od tego, czy wierzymy, czy nie wierzymy, te dwa światy nakładają się, tworząc całość. To tak jak być jedną nogą w tym, a drugą w tamtym świecie.

Ślepcy duchowości nie widzą.

Polecam te opowiadania wszystkim, którzy pragną poszerzyć swój horyzont myślowy i chociaż na chwilę oderwać się od spraw materii w celu głębszej refleksji, przemyśleń, zastanowienia nad życiem i otaczającym nas światem.

Na zakończenie prezentuję wiersz Borysa Russko, który nawiązuje do tematyki przedstawionej przez autorkę.

DIALOG ZE SOBĄ

Jest coś, czego nie rozumiem.

Jest coś, co tylko czuję.

Jest coś, czego się boję.

Jest coś, po czym tylko pełzam.

Jest owoc, którego nie skosztuję.

Jest światło, którego nie widzę.

Jest głucha noc, której nie słyszę.

Być może to sen.

Być może to cień.

Być może to w cieniu sen.

Być może to w śnie cień.

Być może to Coś,

w tym Coś jest Ktoś,

siedzi obok mnie

i wsłuchuje się we mnie.

R o m a n K o w a l e w i c z

Regina Kantarska-Koper. *Zdarzenia nie do uwierzenia*. Nauczycielski Klub Literacki, Białystok 2023.

Joanna Pisarska

NIECH NIE OPADNĄ W NAS SKRZYDŁA

Na okładce rozsypane okna jak gwiazdy na czystym niebie, pod nimi dachy domów niczym ciemna, uśpiona ziemia, jeszcze niżej, znów rozsypane, klawisze fortepianu, bo muzyka też odpoczywa, zanim przemówi. Tak wchodzi się w galaktykę poezji Leonardy Szubzdy z jej ostatniego tomu, w którym *na wyciągnięcie ręki/ jest życie/ jego zdumiewająca zwyczajność/ darowana jednako/ nam ptakom i liściom.*

Jest Autorka z pewnością duchową kronikarką swojego czasu, swojego domu, swojej małej i wielkiej Ojczyzny, kiedy przywołuje osoby i zdarzenia, by je na nowo odzyskać, by trwały *jak dobra nowina*. W czterech ścianach, w przestrzeni międzyoceanicznej, w miłości.

Ale jest także poetką rozliczenia, która od pierwszej do ostatniej stronicy stawia nas przed swoimi wierszami jak przed lustrem w procesie niejako rachunku sumienia, zdania sprawy z tego, cośmy uczynili z relacjami – do ziemi i ludzi, do dalekich i bliskich, do przeszłości, terażniejszości i przyszłości.

Bo przecież to właśnie będzie się liczyło, kiedy na koniec *opadną maski*. Oby wtedy uniosły nas skrzydła.

Joanna Pisarska

Leonarda Szubzda. *Galaktyka czterech ścian*. Sokólski Ośrodek Kultury, Sokółka [2024].

Tadeusz Dudek

NIE MA RÓŻAŃCA BEZ KOLCÓW... Komentarz do składanki poetyckiej

Nie ma różańca bez kolców, a tym bardziej bez kobiet – mężczyzn zazwyczaj onieśmiela.

Zbierałem się długo w sobie, by skomentować choćby jedną ze składanek poetyckich na portalu „Poeci w sieci”. Pierwotnie zamierzałem to zrobić do składanki: „Kobiety Sybiru”, bowiem zrobiła na mnie piorunujące wrażenie, a lirycznie nieco – olśniła i wzruszyła do głębi od pierwszego wiersza. Moje serce nie służy, musiałem się nad tym pochylić, nad tym poetyckim wyrazem czci i szacunku kobiet dla kobiet. Wahałem się długo, ale ta moja wrodzona wstydlivość jakoś wtedy przeważyła (zdarza się mi to niekiedy, zwłaszcza w obecności silnych kobiet) – w końcu dałem sobie spokój.

Dziś jednak, być może za wstawiennictwem Matki Bożej Różańcowej, wróciła mi odwaga, męstwo bycia zapominane czasem u schyłku wieku – starość nie radość (a skleroza), ale z żywymi trzeba naprzód iść – wszak *odmawiając różaniec, każde ziarenko podnosi mnie z ziemi* (przynajmniej zdaniem Joanny Pisarskiej). Stara się nas ośmielić, a i zachęcić do różańca swoistym pantum Urszuli Krajewskiej-Szeligowskiej: *Z różańcem w dłoni przez październik / Idziemy, choć nad nami wicher, / Chociaż przytłacza czas jesienny. / Różaniec – symbol naszych zwycięstw*. Anna Czartoszewska podkreśla niezemska cierpliwość Maryi z Fatimy, która cały czas czeka na jakiś

odzew, a świat zwleka, zwleka, zwleka... Józefa Drozdowska trafnie zauważa, że *różaniec splata ręce z niebem godząc to co ludzkie z tym co boskie ... a w oknie po każdym Ave staje Anioł ze złotym liściem ognia.*

Na leśnej polanie nawet trawa się modli, kwiaty swoim zapachem przesycają słowa, *powietrze zastyga w uścisku promieni*, a one wracają echem. Jolanta Maria Dzieńis całym swoim sercem chwytą w motylim locie to misterium natury, w jego migotliwym, iskrzącym się pięknie. Ale chyba głębiej w urok leśnej głuszy, jej tajemnic stara się wniknąć Krystyna Gudel. W tym celu *slucha wykładu liści u wrót brzezinowego konfesjonalu (ostępy codzienności wodzą ją na pokuszenie)* pisze, że o zmierzchu jakby *błogosławięństwo spłynęło na nią z ognistej monstrancji*. Nim ciepła noc, ciemność i miłosierna cisza otuliła wszystkie te sekretne miejsca. Przed snem, z prostotą fatimskiego dziecka, wierząc w moc boską, powierza w modlitwie swoje sprawy Janina Jakoniuk. W wierszu Daniela Polasik *wiatr zdobi duszę, oczy jak szybkostrzelne migawki aparatu błyszczą dziko*. Poetka *krzyżuje patyki, umacnia je morską trawą, błaga niebo o cud*. *Głucha jak pień, słucha w kościele Bacha, wzrasta między kapryśnymi liśćmi secesji*. *Fale wznoszą się jak arcydzieła mistrza baroku*, a poetyka różańcowa z pewnością zyskuje na dynamice. Irena Słomińska znacznie poszerza obszar tajemnic różańcowych, kreśli jakby szerszy duchowy krąg. *U stóp krzyża paciorki krwi przenikają spaloną ziemię*. *Czerwień mistyczna buduje biel – gmach Boga*. (...) *Buddyści, muzułmanie, katolicy... Ich ręce bliźniaczo związane sznurami pereł, łzami modlitwy*.

Leonarda Szubzda (z przymrużeniem oka) przenosi królestwo z nieba do zagrody swojej mamy – *strzegą je wierne kolki w płocie, kury uprawiają ziemię, myszy siedzą cicho pod miotłą, a wróble robią wiele hałasu o nic*, ale mali *poddani czują się dobrze*. Podczas snu *mama przelicza dni paciorkami różańca* i wszystkim powierza Panu. Jadwigę Zgliszewską *różaniec zadziwia prostotą niezwyklej wiary ojców*, uspokaja prostotą słów i zasila wielką mocą. Bliski i daleki, łatwy i trudny, radosny i pełen cierpienia – najprostsza droga do nieba. Znalazł się wśród tych kobiet i mężczyzna (pomijając autora tego komentarza oczywiście), Marek Mozyrski proponuje swoją wersję tajemnic: radosnej, bolesnej i chwalebnej – taką do tańca, rymu i różańca, ale i w zgodzie z tradycją.

Katowice, 7 października 2024 r.

T a d e u s z D u d e k

Komentarz Tadeusza Dudka do składanki poetyckiej „Z różańcem przez życie”. Portal „Poeci w sieci”, 7.10.2024.

Z różańcem przez życie – wiersze Podlaskich Poetów. Portal „Poeci w sieci”, 7.10.2024.

NOTKI

7.09.2024. Spotkanie warsztatowe Nauczycielskiego Klubu Literackiego, poświęcone głównie poezji. Prowadził Kazimierz Słomiński.

10.09.2024. Regina Kantarska-Koper – spotkanie autorskie, wystawa prac malarskich. Oprawa muzyczna: Marek Jarosz. „Zenit” – klub osiedlowy Spółdzielni Mieszkaniowej „Zachęta”, Białystok, ul. Mieszka I 16.

Strona internetowa: Przemyskie Centrum Kultury i Nauki ZAMEK. [Opublik. 16.09.2024]. *13 września 2024 r. – X NADSAŃSKIE SPOTKANIA POETYCKIE RSTK w Przemyślu*. Tekst: *W piątek 13 września 2024 r. Zamek Kazimierzowski gościł członków Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Przemyślu na corocznych, dziesiątych już Nadszańskich Spotkaniach*

Poetyckich. W ramach tego wydarzenia odbyło się wręczenie honorowych medali im. Jakuba Wojciechowskiego, wystawa obrazów oraz ogłoszenie wyników konkursów: „O wstęgę Sanu” i „Przemyska Brama”. Na zakończenie wystąpił Szymon Brucki w recitalu poezji śpiewanej zatytułowanym „Martwy punkt”. • Wydawnictwo pokonkursowe: *Jesteś mi wierszem pomiędzy drzewami. X Nadszańskie Spotkania Poetyckie. Wiersze nagrodzone w konkursie „O Wstęgę Sanu”*. Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Przemysłu, Przemysł 2024. Stron 40; 21 x 14,7 cm; ISBN 978-83-951874-7-6. # Str. 22-25: Beata Kulaga. *perspektywa; Westa*. [Wiersze; II wyróżnienie]. # Str. 39-40: *Protokół z obrad jury VII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Wstęgę Sanu”*. Wpłynęło 67 zestawów wierszy. Jury: Małgorzata Wilgucka (przewodn.), Stach Ożóg, Robert Świdnicki. Przyznano I, II i III miejsce; I, II i III wyróżnienie oraz wyróżnienia honorowe. II wyróżnienie zdobyła Beata Kulaga.

15.09.2024. Spotkanie Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. # Józefa Drozdowska – o Jamińskim Zespole Indeksacyjnym. # Turniej jednego wiersza; temat: „Pożegnanie”; 10 wierszy; jury: Józefa Drozdowska, Grażyna Cyłwik, Joanna Skowrońska; dyplom: Bożena S. Bart (Bożena Siemieńczuk-Bartoszewicz).

Strona internetowa: Jamiński Zespół Indeksacyjny. [Opublik. 20.09.2024]. Józefa Drozdowska. *Białostoccy literaci zapoznali się z JZI. Z tekstu: Na pierwszym powakacyjnym spotkaniu Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku miało miejsce niecodzienne spotkanie. Dzięki zgodzie naszej prezes Grażyny Cyłwik i członkom klubu miałam okazję moim koleżankom i kolegom po piórze przedstawić działalność Jamińskiego Zespołu Indeksacyjnego. Szkoda, że tak się ułożyło, iż byłam sama. Myślę, że ciekawiej byłoby, gdyby jeszcze ktoś wsparł mnie w opowieści o naszym stowarzyszeniu. Starłam się jak mogłam najlepiej zaprezentować różnorodną działalność JZI. Na spotkanie tego dnia przyszły 23 osoby. Opowiedziałam w skrócie kim jesteśmy i czym się zajmujemy zarówno od strony genealogicznej jak i wydawniczej. Słuchaczy szczególnie interesowała nasza działalność genealogiczna, co było dla mnie wielkim zaskoczeniem. Myślałam, że będę miała więcej zapytań o sprawy związane z publikacjami. A było inaczej. Przekazałam adresy do naszych stron internetowych, powiedziałam o wyszukiwarce i myślę, że zainteresowani genealogią będą z nich korzystać. Dużą radość sprawiła mi deklaracja jednej z moich koleżanek klubowych, że jeżeli tylko pozwoli jej na to czas, dołączy do nas. Jest młodą osobą znającą świetnie języki rosyjski i ukraiński, pracuje zawodowo na Excelu. Myślę, że byłoby dla nas wielką radością, gdyby Beata Kulaga nas wsparła swoją pomocą. Do Białegostoku pojechałam z moim kolegą Czesławem Kowalewskim, mogłam więc zabrać ze sobą walizkę książek wydanych przez JZI. Starłam się, by pokazać różnorodność naszych wydawnictw. Opowiedziałam także o książkach, w których znajdują się utwory osób z Nauczycielskiego Klubu Literackiego. Lista liczy już dziewięć wydanych pozycji. Są na niej dwa wydawnictwa indywidualne, czyli „Historie pazurem wojny kreślone” autorstwa Krystyny Gudel i moje „Opowieści z domu pod topolą”. Na liście jest dziesiąta książka zbiorowa, którą przesłałam do składu dla Krzysztofa, a w pracy jest kolejna moja z opowieściami spod Trukieli. Tego dnia nie zabrakło stałych punktów naszych klubowych spotkań, czyli konkursu jednego wiersza, tym razem wygranego przez Bożenę Siemieńczuk-Bartoszewicz, pokazu obrazów tworzonych przez klubowiczów, w tę niedzielę pędzla Zbigniewa Nowickiego oraz opowieści o nich autora i Joanny Pisarskiej, a także tradycyjnych rozmów przy herbacie, kawie i słodyczach. # Zdjęcie ze spotkania.*

Strona internetowa: Libiąskie Centrum Kultury. [Opublik. 21.09.2024]. *Poezja wpisana w miasto – Festiwal Poezji 2024. Z tekstu: Gospodarzem trzeciego dnia Festiwalu Poezji 2024 „Poezja wpisana w miasto” był Libiąż. (...) Kulminacją wydarzenia było rozstrzygnięcie VI Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Satyra Urobkowa” 2024. Przyznano Grand Prix; I, II i III nagrodę oraz trzy równorzędne „górnice” wyróżnienia. Jedno z wyróżnień otrzymał Andrzej Lewko. Wyróżnione fraszki: GÓRNIK – JUBILER // Jeśli go najdzie kiedyś ochota, / Zrobi naszymi czarnego złota. # GÓRNIK – DIETETYK // W swoim wywodzie zabrnął daleko, / Twierdząc, że groszek nie jest już eko. # GÓRNIK – POLITYK // Z jego ust się wydobywa, / Jakże piękna perspektywa.*

Strona internetowa: Gminna Biblioteka Publiczna w Jabłonce Kościelnej. [Opublik. 23.09.2024]. *Uroczyste podsumowanie II Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Franciszka Świąckiego „O Lirę Strudzonego Wędrowca”*. Z tekstu: *W sobotnie przedpołudnie 21 września 2024 roku, w sali gimnastycznej Szkoły Podstawowej w Jabłonce Kościelnej odbyła się uroczysta gala wręczenia nagród w II Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Franciszka Świąckiego „O Lirę Strudzonego Wędrowca”*. Konkurs zorganizowała już po raz drugi Gminna Biblioteka Publiczna w Jabłonce Kościelnej. (...) Jury konkursowe w składzie: Urszula Krajewska-Szeligowska, Anna Czartoszewska i Elwira Matusiak przedstawiły wyniki konkursu, które wyglądały następująco. I nagroda – Aneta Jasłowska. II nagroda – Jan Bliźniuk. III nagroda – Grzegorz Chomicz. Wyróżnienia: Anna Piliszewska, Joanna Pisarska, Natalia Ruta, Regina Kantarska-Koper. Nagroda specjalna za wiersz poświęcony patronowi konkursu – Klaudia Korytkowska. Nagroda specjalna za wiersz dla twórcy z regionu – Krystyna Gudel. Wyróżnienia w postaci druku w publikacji pokonkursowej zdobyli: Tadeusz Charmuszko, Ramona Wiora, Irena Słomińska, Karolina Chilkiewicz, Andrzej Długoborski. # Zdjęcia. • Wydawnictwo pokonkursowe: *II Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Franciszka Świąckiego „O Lirę Strudzonego Wędrowca”*. Wiersze nagrodzone i wyróżnione. Gminna Biblioteka Publiczna w Jabłonce Kościelnej, wrzesień 2024. Stron 42; 21 x 14,7 cm. ## Str. 1: Anna Czartoszewska. *Słowo wstępne*. # Str. 2-3: *Słów kilka o Franciszku Świąckim – Patronie Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Lirę Strudzonego Wędrowca”*. # Str. 4-6: Urszula Krajewska-Szeligowska. *„O Lirę Strudzonego Wędrowca” 2024 – refleksje pokonkursowe wierszem*. [Tekst wygłoszony na gali konkursowej w Jabłonce Kościelnej 21.09.2024; 19 zwrotek czterowersowych]. ## Str. 21-22: Krystyna Gudel. *Las stanął jak wryty; Tamto miejsce*. # Str. 27: Joanna Pisarska. *Kołysanka dla Eliasza*. # Str. 32-33: Regina Kantarska-Koper. *Przeniesiony; *** maj się majem rozmaił...* # Str. 35: Irena Słomińska. *Ciepło*. # Str. 39: Andrzej Długoborski. *Kapliczka*.

Wydawnictwo pokonkursowe: *IV Ogólnopolski Konkurs Poetycki Wiersza Klasycznego WYSOKIE rymowanie. Wiersze finalistów*. Miejska Biblioteka Publiczna Wysokie Mazowieckie 21.09.2024. Stron 52 [bez numeracji]; 21 x 14,7 cm. Redakcja: Urszula Krajewska-Szeligowska. ## *Protokół z posiedzenia Jury IV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego Wiersza Klasycznego WYSOKIE rymowanie w dniu 31 sierpnia 2024 roku*. Z tekstu: Jury (...) w składzie: Urszula Lewartowicz, Anna Czartoszewska, Urszula Krajewska-Szeligowska stwierdza, że w konkursie udział wzięło 130 uczestników, którzy nadesłali 260 utworów w dwóch kategoriach: kategoria I – młodzież, kategoria II – dorośli. # Urszula Lewartowicz. *ARSenaty WYSOKIEGO rymowania*. # Anna Czartoszewska. *Krajobrazy WYSOKIEGO rymowania*. # Urszula Krajewska-Szeligowska. *WYSOKIE rymowanie – refleksje pokonkursowe wierszem*. [22 rymowane zwrotki czterowersowe]. ## Jolanta Maria Dzienis. *Poranne panny*. [Dorośli; wyróżnienie drukiem]. # Anna Kropiewnicka. *Na ratunek poezji*. [Dorośli; wyróżnienie drukiem za wiersz promujący poezję rymowaną].

28.09.2024. Spotkanie w Knyszynie (Knyszyński Ośrodek Kultury). Rozstrzygnięcie IX Otwartego Konkursu Literackiego im. Elżbiety Daniszewskiej. Na konkurs 15 autorów nadesłało czterdzieści dwa wiersze, trzy utwory prozatorskie i jedną bajkę. Pierwsza nagroda: Małgorzata Pieńkowska. Druga: Regina Świtoń. Trzecia: Anna Czartoszewska. Wyróżnienia: Irena Słomińska, Waldemar Pieńkowski. Z NKL w spotkaniu uczestniczyli: Anna Czartoszewska, Jolanta Maria Dzienis, Krystyna Gudel, Regina Kantarska-Koper, Urszula Krajewska-Szeligowska, Joanna Pisarska, Kazimierz Słomiński, Regina Świtoń, Marek Ustymowicz. • Relacja w miesięczniku „Nowy Goniec Knyszyński”, nr 10 (237), paźdz. 2024, str. 22-25: *Święto słowa w Knyszynie*. [Pod nagłówkiem: *IX Biesiada Literacka im. Elżbiety Daniszewskiej*. Tu m. in. wiersze: Regina Świtoń. *W rodzinnej sadybie*; Anna Czartoszewska. *Suszki*; Irena Słomińska. *Tak wiele*.

Strona internetowa: Stowarzyszenie Autorów Polskich O / Warszawa II Facebook. [Opublik. 2.10.2024]. Beata Baran [Kulaga]. *Wyniki Turnieju Jednego Wiersza pod hasłem JABŁOŃ*. Z tekstu: *28 września 2024 roku w sobotę odbyło się spotkanie w MAL we Włochach (Miejsce Aktywności Lokalnej)*. (...) *W tym dniu przypada Światowy Dzień Jabłka, stąd hasło Turnieju Jednego Wiersza, który przeprowadziliśmy w nowej formule*. (...) *Laureaci oprócz dyplomów*

otrzymali w nagrodę zbiory fraszek i aforyzmów Kazimierza Słomińskiego: „Błazny myślą dzwoneczkami” oraz „Fraszki uśmiechu warte”. Również jurorzy za swoją niełatwą pracę zostali obdarowani zbiorem „Błazny myślą dzwoneczkami”. Dziękujemy autorowi – darczyńcy.

We wrześniu 2024 na kolejną trzecią kadencję (1924-1929) wybrany został Andrzej Gryguć, prezes Podlaskiego Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego.

5.10.2024. Spotkanie warsztatowe Nauczycielskiego Klubu Literackiego, poświęcone głównie poezji. Prowadził Kazimierz Słomiński.

Blog Renaty Blicharz [Opole]. Poezja jest magiczną stroną życia. Życie może być poezją. [Opublik. 5.10.2024]. *Jak napisać esej? Z tekstu: Wzór na napisanie eseju wydaje się prosty. Przepis na jego napisanie, a może bardziej cechy eseju opisała na dwóch stronach Irenka Grabowiecka, której już nie ma z nami. Na jednym z plenerów, chyba w Świeradowie Zdroju, rozdała nam, uczestnikom, takie swoje opracowanie na temat eseju. Zawiera ono samą esencję procesu tworzenia eseju, wymienia w punktach, bardzo konkretnie, wszystko najważniejsze, to co powinien zawierać esej. Mądra była Irenka, miała ogromną wiedzę literacką, prowadziła bardzo merytoryczne warsztaty, organizowała plenery literackie, m.in. wspaniały według mnie plener w Ciechanowcu, pisała wiersze, recenzje, różne literackie teksty, artykuły. Była mistrzynią haiku i przez wiele lat przewodniczyła Nauczycielskiemu Klubowi Literackiemu w Białymstoku. To baaardzo wielki skrót o niej. A esej... to wielka sztuka, wymagająca literackiej giętkości pióra, czytania, umiejętności analizowania, podpatrywania zjawisk i cech, łączenia wątków, jednym słowem wielkiej, szeroko pojętej erudycji. Sztuką jest napisać taki, by sprostął wszystkim tym „warunkom”, przedstawionym i zebranych przez Irenkę Grabowiecką. Te dwie kartki A4, wypełnione pracowicie odręcznym pismem Irenki, to takie swoiste wspomnienie o niej i o czasie spędzonym na kilku plenerach literackich, na których ona też była, w których i ja uczestniczyłam i które wspominam teraz, niektóre po wielu już latach, z nostalgią i tęsknotą. A także z wdzięcznością, że było mi dane w nich brać udział i poznawać ludzi, zjawiska, książki, poezję, literaturę.*

Strona internetowa: Gazeta Myślenicka. [Opublik. 8.10.2024]. *XV jubileuszowy Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O kwiat dziewięcisiła”*. Z tekstu: *W sobotę, 5 października br. w Skomielnej Czarnej odbył się XV jubileuszowy Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O kwiat dziewięcisiła”*. (...) Wyniki konkursu przedstawił poeta, eseista, tłumacz, krytyk literacki i animator kultury Kazimierz Burnat z Wrocławia. Następnie został zaprezentowany almanach pokonkursowy „*Tu jest wszystko, co kocham*”... Jury: Kazimierz Burnat (Wrocław) – przewodn., Marian Cieślik (Skomielna Czarna), Lesław Urbanek (Gdańsk). Wśród utworów wybranych do publikacji w almanachu: Joanna Pisarska (Białystok) – wiersz *W górach*.

Strona internetowa: Parafia pw. Św. Stanisława Biskupa w Rymanowie-Zdroju. [Opublik. 7.10.2024]. *Październik – miesiąc różańca św.* Tu m.in.: Urszula Krajewska-Szeligowska. *** *Z różańcem w dłoni przez październik...* [Wiersz].

Strona internetowa: Miejska Biblioteka Publiczna w Augustowie Facebook. [Opublik. 17.10.2024]. Z tekstu: *W czwartek 10.X w Czytelni Miejskiej Biblioteki Publicznej odbyło się spotkanie z Darkiem Karpem w cyklu spotkań „Pogawędki o Regionie” prowadzonych przez panią Józefę Drozdowską. Na spotkaniu zaproszony gość mówił o ptakach Biebrzańskiego Parku Narodowego, swoich pasjach i książce, a licznie zgromadzona publiczność (bowiem na spotkanie przybyło około 70 osób) zadawała pytania i dzieliła się własnymi refleksjami na poruszane tematy. W 2023 r. w wydawnictwie Świat Książki została wydana bogato ilustrowana autorska książka Darka Karpa – *Zwierzęta biebrzańskich lasów – historia o świecie przyrody oraz dotychczasowym życiu autora, związanym ściśle z przyrodą*.*

Strona internetowa: zambrowiaczy.pl [Opublik. 11.10.2024]. *Promocja tomiku poezji Urszuli Krajewskiej-Szeligowskiej pt. „Urok roku” (foto, wideo)*. Z tekstu: *Dzisiaj, 11 października,*

w Centrum Kultury Gminy Zambrów odbyła się promocja tomiku poezji Pani Urszuli Krajewskiej-Szeligowskiej pt. „Urok roku”. Wieczór był okazją do prezentacji dorobku autorki, recytacji poezji przez publiczność, a także wysłuchania niezwykłego recitalu akordeonowego Pana Damiana Krawczewskiego. Spotkanie poprowadziła Pani Anna Czartoszewska.

14.10.2024. Gala Literacka Słowo i Dźwięk w Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego (ul. Marii Curie-Skłodowskiej 14 A). **Rozstrzygnięcie Konkursu Poetyckiego im. Jana Leończuka (III edycja) oraz Konkursu Literackiego SREBRO NIE ZŁOTO (X edycja).**

● **KONKURS IM. JANA LEOŃCZUKA (III EDYCJA).** Do udziału w konkursie zgłosiło się 113 osób z całej Polski, w tym 18 z woj. podlaskiego; wpłynęły też prace z Anglii, Francji, Szwecji, Włoch i Japonii. Po weryfikacji pod względem formalnym do konkursu przyjęto 216 prac. Organizatorzy: Stowarzyszenie Szukamy Polski i Redakcja Poeci w sieci oraz partnerzy – Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku i Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Białymstoku. Kapituła: prof. hab. Iwona Rusek (Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Białymstoku), Eligiusz Buczyński (Książnica Podlaska), Bożena Bednarek (Stowarzyszenie Szukamy Polski), Anna Anchimowicz (sekretarz). Nagrody: karty prezentowe MPIK – I miejsce 1000 złotych, II miejsce 600 złotych, III miejsce 350 złotych. Sfinansowano ze środków budżetu Województwa Podlaskiego. Laureaci otrzymali statuetki, dyplomy, nagrody w formie kart prezentowych do MPIKU za pierwsze, drugie i trzecie miejsce. Były też nagrody specjalne i wyróżnienia. **Nagrodzeni i wyróżnieni: I miejsce: Jerzy Fryckowski** z Dębnicy Kaszubskiej; **II miejsce: Aleksandra Bogdanowicz** z Warszawy; **III miejsce: ex aequo – Magdalena Cybulska** z Łodzi oraz **Dariusz Żółtowski** z Warszawy. **Wyróżnienie specjalne Marszałka Województwa Podlaskiego: Monika Telka** (Świślina Pawłów). **Wyróżnienie specjalne Wydziału Filologicznego Uniwersytetu w Białymstoku: Olga Sienkiewicz** ze Szczecina. Wyróżnienie specjalne Stowarzyszenia Szukamy Polski: **Elżbieta Kasperek** z Białegostoku.

● **KONKURS LITERACKI SREBRO NIE ZŁOTO (IX EDYCJA).** Na konkurs wpłynęły 102 utwory w dwóch kategoriach: 74 wiersze i 30 prac prozatorskich (70% to prace z województwa podlaskiego). Kapituła: Dorota Sokołowska (przewodn.; Polskie Radio Białystok); Eligiusz Buczyński (Książnica Podlaska), Bożena Bednarek (Stowarzyszenie Szukamy Polski). Laureaci I miejsca w dwóch kategoriach: poezji i prozy otrzymali karty prezentowe MPIK o wartości 800 zł, II miejsca – 600 zł, III miejsca – 400 zł. Konkurs współfinansowany ze środków Województwa Podlaskiego. Nagrodzeni i wyróżnieni: # **Kategoria POEZJA. Miejsce I: Bartosz Żelek** z Bożejewic k/Żnina. **Miejsce II: Jakub Piotrowicz** z Warszawy. **Miejsce III: Jolanta Maria Dzienis** z Białegostoku za wiersze „miejska tęcza” i „epitafium”. *Uzasadnienie: Cechą wierszy „miejska tęcza” i „epitafium” jest ich lapidarność. A metafora pojawia się w dosłowności. Czas jest nieublagany, życie przemija, a szarości, zamiast kwiatów gnijących w wazonach mogą przeciwstawić się wiersze. Spróbujcie.* **Wyróżnienie specjalne Polskiego Radia Białystok: Józefa Drozdowska** z Augustowa za wiersz „Zawierszam, zastożam pamięć”. *Uzasadnienie: „Patchworkowa serweta wspomnień” – to tekst namalowany jak obraz. Pełen dźwięków, zapachów, widoków – które wywołują i nasze wspomnienia. Doskonale sprawdziłby się w radiu jako opowieść o przeżytym życiu, do którego można byłoby podłożyć „tarcie płóz o śnieg”, parskanie koni, krakanie wron. Radio też lubi przywracanie zapomnianych pojęć. Dziękujemy za „zawierszanie, zastożanie pamięci” z Glogera. Piękny, ciepły wiersz, który może być mottem każdej pamięci.* **Wyróżnienie specjalne Stowarzyszenia Szukamy Polski: Konrad Milanowski** z Augustowa. **Wyróżnienie specjalne Stowarzyszenia Szukamy Polski: Krystyna Gudel** z Suchowoli za wiersz „Po rosie”. # **Kategoria PROZA. Miejsce I: Andrzej Brański** z Białegostoku. **Miejsce II: Wojciech Karpiński** z Białegostoku. **Miejsce III: Zbigniew Nowicki** z Białegostoku za prozę „Dewoci”. **Wyróżnienie specjalne Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku: Ewa Lech** z Białegostoku.

● Uczestnicy gali otrzymali publikację: *Zbiór słów w wierszu i prozie. Antologia podlaska.* Białystok 2024. [Dostępna w internecie; pdf]. # Relacja ze spotkania, wyniki konkursów oraz nagrodzone i wyróżnione teksty na portalach internetowych „Poeci w sieci” oraz „Srebro nie złoto”.

Strona internetowa: Szkoła Podstawowa im. Powstańców Styczniowych w Nowince. [Opublik. 17.10.2024]. *Spotkanie z Anną Kropiewnicką*. Tekst: *We środę 16.10.2024 r. w ramach Narodowego Programu Rozwoju Czytelnictwa w Oddziale Przedszkolnym oraz kl. I-II w Szkole Filialnej w Monkiniach odbyło się spotkanie z Anną Kropiewnicką autorką wierszy i książek dla dzieci.*

Ewa Danuta Stupkiewicz – wydarzenie artystyczne w dwóch odsłonach: „Wizje dusz” & „Szczęście w warkoczu z łez” – wystawa grafiki warsztatowej (od 19.10.2024). Białolecki Ośrodek Kultury „3 pokoje z kuchnią”, Warszawa, ul. Głębocka 84.

Strona internetowa: Poeci w sieci. [Opublik. 24.10.2024]. *Znamy laureatów kolejnej edycji Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego za najciekawsze książki poetyckie wydane w roku 2023. Z tekstu: Decyzją Kapituły Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego, obradującej w składzie: Szymon Babuchowski – poeta, krytyk literacki, kierownik działu „Kultura” w „Gościu Niedzielnym”; Barbara Gruszka-Zych – poetka, krytyk literacki, redaktor „Gościa Niedzielnego”; Wojciech Kaliszewski – poeta, krytyk literacki, pracownik Instytutu Badań Literackich, wykładowca akademicki; ks. Janusz A. Kobierski – poeta, krytyk literacki, Przewodniczący Kapituły, Jan Rodzim – wydawca poezji ks. Jana Twardowskiego, Erazm Stefanowski – poeta, krytyk literacki, Sekretarz Kapituły laureatką Nagrody za wyróżniający się tom poetycki w roku 2023 została Adriana Szymańska za książkę „Epilog z Gwiazdą”, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023. (...) Ponadto uwagę jurorów zwróciły tomy niżej wymienionych poetów, których uhonorowano wyróżnieniami: Tomasz Dalasińskiego „Wiersze dla żywych”, Wydawnictwo j, Wrocław 2023; Joanny Pisarskiej „Pośrodku nocy”, Nauczycielski Klub Literacki, Białystok 2023; Adama Wagi „Ścierń”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023; Zbigniewa Chojnowskiego „Co to to”, Wydawnictwo FORMA, Szczecin-Bezrzecze 2023. Fundatorem nagród finansowych dla laureatów jest Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. (...) Warszawa, 17 października 2024.*

19.10.2024. Na stronie internetowej Zarządu Okręgu Podlaskiego ZNP zamieszczony został 2/144/2024 numer „Najprościej”. Dotychczas „Najprościej” zamieszczane było na portalu Jana Migielicza „Migielicz.pl”, który zakończył działalność.

20.10.2024. Spotkanie Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. # Prezentacja tomiku „czuję maluję myślę” z serii Kajety Starobojarskie – Anastazja Michalina Banasiak, Joanna Skowrońska, Beata Kulaga (prowadził Kazimierz Słomiński). # Beata Kulaga – 25 lat pracy twórczej; otrzymała statuetkę z podziękowaniem, mówiła o swej drodze twórczej. # Turniej jednego wiersza; temat: „Zrozumieć siebie”; jury: Grażyna Cylwik, Kazimierz Słomiński; siedem wierszy; dyplom: Regina Kantarska-Koper.

Strona internetowa: Stowarzyszenie Twórców Ludowych. [Opublik. 30.10.2024]. *Rozstrzygnięto 53. edycję Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jana Pocka. Z tekstu: W 2024 roku Zarząd Główny Stowarzyszenia Twórców Ludowych ogłosił w formule otwartej LIII edycję Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jana Pocka. Na konkurs nadesłano 75 zestawów poetyckich i 59 prozatorskich. W dniu 28 października 2024 roku w Lublinie jury obradujące w składzie: prof. dr hab. Jan Adamowski, mgr Halina Kosienkowska-Ciota, dr Katarzyna Kraczoń (sekretarz konkursu), dr Donat Niewiadomski (przewodniczący jury)... W dziedzinie poezji jedną z trzech trzecich nagród uzyskała Krystyna Gudel.*

Strona internetowa: Poeci w sieci. Na stronie między innymi:

📌 PRZESYŁKI POETYCKIE. ● 3.09.2024. *** (*Boże, który nas stwarzasz...*) – wiersz Leonardy Szubzdy. ● 4.09.2024. *Czeremcha* – wiersz Reginy Świtoń. ● 5.09.2024. *Szkice wierszem* – wiersz Ireny Słomińskiej. ● 6.09.2024. *w dolinie Val di Fiemme cień* – wiersz Janiny Osewskiej. ● 7.09.2024. *Klucz za kluczem* – wiersz Danieli Polasik. ● 7.09.2024. *Wiersz 26. (mężczyzna w szarym aucie...)* Krystyny Gudel z tomiku „Pęknięcia i szczeliny”. ● 9.09.2024. *Lirnik – piosenka*

Urszuli Krajewskiej-Szeligowskiej. • 10.09.2024. *Wiśniowy sad* – wiersz *Józefy Drozdowskiej*. • 11.09.2024. *Zdarzeń igranie* – wiersz *Joanny Skowrońskiej*. • 12.09.2024. *miłość nie jest na życzenie* – wiersz *Anny Czartoszewskiej*. • 13.09.2024. *Mladen Karavelov czyta wiersze Jolanty Marii Dzieńis – Wieczorne rymowanie*. • 15.09.2024. *Nie kocham siebie samego jedynie* – fraszki *Kazimierza Słomińskiego*. [15 fraszek]. • 16.09.2024. *** (*u kresu...*) – wiersz *Reginy Kantarskiej-Koper*. • 19.09.2024. *Pole wrzosu* – wiersz *Joanny Pisarskiej*. • 24.09.2024. *ślady na piasku* – wiersz *Beaty Kulagi*. • 24.09.2024. *ślady na piasku* – wiersz *Grażyny Cylwik*. • 26.09.2024. *Poranne panny* – wiersz *Jolanty Marii Dzieńis*. • 30.09.2024. *Koty na rysunkach wnucząt* – wiersz *Leonardy Szubzdy*. • 1.10.2024. *Hortensje* – wiersz *Reginy Świtoń*. • 3.10.2024. *Ziarna* – wiersz *Ireny Słomińskiej*. • 4.10.2024. *Cóż warte są słowa* – wiersz *Danieli Polasik*. • 5.10.2024. *Wiersz 27. (ślubuję uroczyste...)* *Krystyny Gudel z tomiku „Pęknięcia i szczeliny”*. • 6.10.2024. *Jaka jest JESIEN* – tautogram *Urszuli Krajewskiej-Szeligowskiej*. • 8.10.2024. *Pola* – wiersz *Józefy Drozdowskiej*. • 10.10.2024. *Gdzieś...* – wiersz *Joanny Skowrońskiej*. • 11.10.2024. *czasami marzę by być* – wiersz *Anny Czartoszewskiej*. • 12.10.2024. *Mladen Karavelov czyta wiersze Jolanty Marii Dzieńis – Babcia*. [YouTube; 2:31 min.]. • 15.10.2024. *Multum uprawnień w gestii bezprawia* – fraszki *Kazimierza Słomińskiego*. [15 fraszek]. • 18.10.2024. *Poeta* – wiersz *Reginy Kantarskiej-Koper*. • 20.10.2024. *Brat Zenon* – wiersz *Joanny Pisarskiej*. • 24.10.2024. *wydmy* – wiersz *Beaty Kulagi*. • 25.10.2024. *wydmy* – wiersz *Grażyny Cylwik*. • 26.10.2024. *Pogawędki z wieszczem* – wiersz *Jolanty Marii Dzieńis*. • 30.10.2024. *Droga A.* – wiersz *Leonardy Szubzdy*. • 31.10.2024. *Ogród rozmodlony* – wiersz *Reginy Świtoń*.

☑ SKŁADANKI POETYCKIE. Zestawy wznowione wcześniej publikowane były na portalu „Podlaski Senior”. W wersji obecnej mogły być uzupełniane. • 8.09.2024. *Marzenia, jak ptaki* – wiersze *Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z września 2021, 8.09.2023]. M. in. wiersze: *A. Czartoszewska. Rozdźwięk. J. Drozdowska. Marzenie. J. M. Dzieńis. Tęsknota za latem; Styczniowe marzenie. Tadeusz Dudek. kosmiczne jaja; całuję mocno i ściskam całun. Katarzyna Grabowska. Okulary; *** Od progu uśmiechnięci ludzie... Janina Jakoniuk. Rajski ptak; Sen. R. Kantarska-Koper. Powiedzsonka; Marzenie. U. Krajewska-Szeligowska. Na skrzydłach marzeń (pantum); Jej marzenia przez pokolenia. J. Pisarska. Podróż balonem; Na wiadukcie. R. Świtoń. *** a gdyby tak...* • 17.09.2024. *Kobieta Sybiru w wierszach Podlaskich Poetek*. [Wznowiony zestaw z 28.11.2021, 17.09.2023]. M. in. wiersze: *A. Czartoszewska. Byle do niedzieli. J. M. Dzieńis. Nad Bajkałem. K. Grabowska. Bez słowa skargi; Pociągi śmierci; *** Są słowa klucze... K. Gudel. Tyle lat zapodziało się na obcej ziemi; Skradzione dzieciństwo; Dziewczynki z wyblakłej fotografii nie lubią wspomnień. J. Jakoniuk. Kobieto Sybiru! U. Krajewska-Szeligowska. Paulina Szemesz; Powiedz, Chmurko... J. Pisarska. Kobieta po Sybirze. I. Słomińska. Zniewolenie się nie wypełniło. L. Szubzda. Gdzie Polska.* • 18.09.2024. *Każda miłość jest pierwsza* – wiersze *Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z 18.09.2022, 18.09.2023]. M. in. wiersze: *A. Ciołkiewicz. Pierwsza miłość kretyna. A. Czartoszewska. Mowa miłości. J. Drozdowska. Miłość. J. M. Dzieńis. Szczenięca miłość; Czy to miłość? R. Kantarska-Koper. Rzeczy, których mi żal; *** pełna wiosennej nadziei... U. Krajewska-Szeligowska. W miłość bez słów. J. Pisarska. *** to co się na chwilę otworzyło... L. Szubzda. *** wciąż o pierwszej... R. Świtoń. W Chałupach.* • 23.09.2024. *Jak liście na wietrze* – wiersze *Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z 23.09.2023]. M. in. wiersze: *A. Czartoszewska. Jakie to szczęście, że nie jestem liściem. J. Drozdowska. Spotkanie; Tęsknota. J. M. Dzieńis. Jak liście na wietrze; Na liściu klonowym. J. Jakoniuk. *** stary klon co dnia... R. Kantarska-Koper. Wiersz złotojesienny; *** dzień jak co dzień... U. Krajewska-Szeligowska. Listopadowy los liści. J. Pisarska. *** ogrzej mnie...* • 25.09.2024. *Nad brzegiem rzeki* – wiersze *Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z 25.09.2022, 25.09.2023]. M. in. wiersze: *A. Ciołkiewicz. Rzeczka. J. Drozdowska. W dolinie tej rzeki; Do rzeki Olszanki. J. M. Dzieńis. Neretwa; Nad Jabłonką. R. Kantarska-Koper. *** miasto nad Białą...; *** samotne brzegi Jaskranki... U. Krajewska-Szeligowska. Biała noc. J. Pisarska. Ponad falami. L. Szubzda. Nad Bugiem. R. Świtoń. Do Jaskranki.* • 27.09.2024. *Kiedy wabi nas cały świat* – wiersze *Podlaskich Poetów*. Wiersze: *J. Drozdowska. W minimuzeum kolei w Elku; Werki. T. Dudek. Babiogórski szlak; Po zachodnich wierchach. J. M. Dzieńis. Wyzwanie; Augustowskich jezior czar. U. Krajewska-Szeligowska. Limeryki. [6 limeryków]. J. Pisarska. Wspominając wiatr.* • 29.09.2024. *Jabłkowa pokusa* – wiersze *Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z 28.09.2023].

M. in. wiersze: J. Drozdowska. *Patrząc na sad; Ojczyzna bez pamięci*. J. M. Dzieńis. *w sadzie; Owocobranie*. R. Kantarska-Koper. *Smak jabłka*. U. Krajewska-Szeligowska. *Jabłkowy Grójec*. J. Pisarska. *Czytając Georga Trakla; Anioły Trakla; Jabłko (tautogram)*. • 30.09.2024. *Morskie opowieści – wiersze Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z 29.09.2021, 30.09.2023]. M. in. wiersze: A. Czartoszewska. *morze tęsknoty*. J. Drozdowska. *Idąc plażą o zmroku; Zapamiętanie*. J. M. Dzieńis. *Żadne morze nie szumi inaczej; Muszelkowy kamyk*. J. Jakoniuk. *Morze Jońskie; Sztorm na Bałtyku*. R. Kantarska-Koper. *Światło morza*. U. Krajewska-Szeligowska. *Słońce zachodzi nad morzem; jak człowiek*. J. Pisarska. *Na plaży; Spacer w słońcu*. I. Słomińska. *Opisując; Bursztyn*. • 2.10.2024. *Mój Anioł Stróż – wiersze Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z paźdz. 2021, 2.10.2023]. M. in. wiersze: A. Czartoszewska. *Paciorek*. J. Drozdowska. *Do Anioła Stróża*. J. M. Dzieńis. *Aniele mój; Aniołek*. U. Krajewska-Szeligowska. *Anioł; A w Bieszczadach...* J. Pisarska. *Pochylony anioł; Do złotopiórego anioła*. • 7.10.2024. *Z różańcem przez życie – wiersze Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z 7.10.2022, 7.10.2023]. M. in. wiersze: A. Czartoszewska. *Nieziemska cierpliwość*. J. Drozdowska. *Różaniec; Rosary* (tłum. na jęz. ang. Agnieszka Kleczkowska); *Rzym*. J. M. Dzieńis. *Leśna modlitwa*. T. Dudek. *Stary wierzący turysta*. K. Gudel. *Różaniec codzienny*. J. Jakoniuk. *Modlitwa różańcowa*. R. Kantarska-Koper. *** *przycupnięta na brzegu łóżka...* U. Krajewska-Szeligowska. *Z różańcem przez październik*. J. Pisarska. *Odmawiając różaniec; Modlitwa różańcowa*. D. Polasik. *Gdy wiatr zdobi duszę*. I. Słomińska. *Płatki róż*. L. Szubzda. *Moja Mama*. • 9.10.2024. *Pisania listów czar – wiersze Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z paźdz. 2021, 9.10.2023]. M. in. wiersze: A. Czartoszewska. *list pisany kursywą; List polecony*. J. Drozdowska. *List*. J. M. Dzieńis. *Słowa na wietrze; Listy nieodebrane*. J. Jakoniuk. *List; Dobranoc*. R. Kantarska-Koper. *** *na dzień szuflady...* U. Krajewska-Szeligowska. *jej list; listy wczoraj i dziś*. Anna Kropiewnicka. *Listonosz Gołąbek*. J. Pisarska. *List*. D. Polasik. *Z nutą melancholii*. • 14.10.2024. *Dzień Nauczyciela w wierszach Podlaskich Poetek*. [Wznowiony zestaw z 14.10.2023]. M. in. wiersze: J. Drozdowska. *Szkoła; Nasza Pani*. J. M. Dzieńis. *Na pożegnanie Dziekana*. J. Pisarska. *To tylko pożegnanie*. • 17.10.2024. *Zło dobrem zwyciężaj – wiersze Podlaskich Poetów*. [Z okazji 40-lecia śmierci bł. ks. Jerzego Popiełuszki]. M. in. wiersze: J. Drozdowska. *Do księdza Jerzego Popiełuszki*. T. Dudek. *Twoje życie może okazać się więzieniem*. R. Kantarska-Koper. *Czy warto...; Dwie daty*. J. Pisarska. *Chrzest; Jest taka cena; Wody października; Modlitwa do Bł. Księdza Jerzego*. I. Słomińska. *Na śmierć Jerzego Popiełuszki – lament*. • 19.10.2024. *Chleb nasz powszedni – wiersze Podlaskich Poetów*. [Wznowiony zestaw z 16.10.2021, 17.10.2023]. M. in. wiersze: J. Drozdowska. *Krótką ballada o matczynej dieży*. J. M. Dzieńis. *wiersz dla Jakuba*. R. Kantarska-Koper. *Opowieść o chlebie*. U. Krajewska-Szeligowska. *Babcia czarodziejka; Nowa piosnka*. J. Pisarska. *Chleba naszego powszedniego; W progu*. D. Polasik. *Cuda głębokości*. I. Słomińska. *Biedronka*. R. Świtoń. *Pamięć chleba*. • 25.10.2024. *W świecie cytatów Grahama Greena*. [Z okazji 120 rocznicy urodzin Henry'ego Grahama Greena]. Wiersze: T. Dudek. *Nasza dziergana czasem przyszłość*. J. M. Dzieńis. *Jesienna miłość*. J. Pisarska. *Jak dziecko*. • 29.10.2024. *Zainspirowana poezją Zbigniewa Herberta – wiersze Podlaskich Poetek*. [Z okazji setnej rocznicy urodzin Zbigniewa Herberta]. M. in. wiersze: A. Czartoszewska. *tkanie przetrwania*. J. Drozdowska. *Na koncercie wiolonczelowym w Parku Herberta w Augustowie*. J. M. Dzieńis. *Być sobą*. U. Krajewska-Szeligowska. *Zgubiłam siebie; I co, panie Cogito?* J. Pisarska. *Portret z cieniem; Na marginesie miłosierdzia*.

☐ OPINIE I KOMENTARZE. • 6.09.2024. *Regina Kantarska-Koper o tomiku Erazma Stefanowskiego „Za grosz świętości”*. • 28.09.2024. *Jolanta Maria Dzieńis o tomiku Haliny Wiszowatej „Niebieski bukiet”*. • 7.10.2024. *Komentarz Tadeusza Dudka do składanki poetyckiej „Z różańcem przez życie”*. • 9.10.2024. *Irena Słomińska o fraszkach Kazimierza Słomińskiego*. [Tekst z roku 2005]. • 30.10.2024. *Joanna Pisarska laureatką Nagrody im. ks. Jana Twardowskiego*. [Wypowiedzi o tomiku „Pośrodku nocy” zamieszczone wcześniej na portalu: A. Czartoszewska, R. Kantarska-Koper, E. Stefanowski].

☐ KONKURS IM. J. LEOŃCZUKA. • 14.10.2024. *Wyniki konkursów literackich: im. Jana Leończuka i konkursu Srebro nie złoto*.

☐ PATRONATY I WSPÓŁPRACA • 17.10.2024. *Prezentacja nagrodzonych i wyróżnionych utworów Konkursu Literackiego SREBRO NIE ZŁOTO*. M. in. teksty: J. M. Dzieńis. *miejaska tęcza*;

epitafium. [Wiersze; trzecia nagroda]. J. Drozdowska. *Zawierszam, zastożam pamięć*. [Wiersz; wyróżn.]. Z. Nowicki. *Dewoci*. [Opowiad.; trzecia nagroda].

■ ŁĄCZNIK I SLAM POETYCKI. • 24.10.2024. *Znamy laureatów kolejnej edycji Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego za najciekawsze książki poetyckie wydane w roku 2023*. [Wyróżnienie otrzymała m. in. Joanna Pisarska za tomik „Pośrodku nocy”].

Strona internetowa: **Podlaski Senior** [podlaskisenior.pl]. Publikacje za okres wrzesień – październik 2024 w układzie chronologicznym (w internecie nie są datowane. Na stronie między innymi:

■ TWÓRCZOŚĆ. • [1.09.2024]. *Muchomor, schody, witraż i gitara – jak to literacko połączyć*. [Zabawa Podlaskiej Redakcji Seniora]. M. in.: Jolanta Maria Dzienis. *Stary muzyk*. [Wiersz]. • [13.09.2024]. *Kasztanowa magia*. Tekst i wiersz: J. M. Dzienis. • [16.09.2024]. *Zabawa literacka – paproć, mikrofon, litera i inne*. M. in.: J. M. Dzienis. *Na polanie*. [Wiersz]. • [17.09.2024]. *Jej droga – wiersz Krystyny Gudel*. • [23.09.2024]. *Haiku Jesień*. [Podlaska Redakcja Seniora]. M. in.: J. M. Dzienis. *** // *mglisty rozbłysk barw / trwożny trzepot na wietrze / jesienny motyl*. • [26.09.2024]. *Powódź – wiersz Józefy Drozdowskiej*. • [27.09.2024]. *Kiedy wabi nas cały świat – wiersze Podlaskich Poetów*. M. in. wiersze: J. Drozdowska. *W minimuzeum kolei w Elku; Werki*. Tadeusz Dudek. *Babiogórski szlak; Po zachodnich wierchach*. J. M. Dzienis. *Wyzwanie; Augustowskich jezior czar*. Urszula Krajewska-Szeligowska. *Limeryki*. [6 limeryków]. Joanna Pisarska. *Wspominając wiatr*. • [29.09.2024]. *Zabawa literacka – jak połączyć astry, gwóźdź, sernik i tron*. [Podlaska Redakcja Seniora]. M. in.: J. M. Dzienis. *W upalną noc*. [Wiersz]. • [9.10.2024]. *Październikowe wiersze Haliny Alfredy Auron*. Wiersze: *Jej oczy, Kropla z kroplą...; *** rozkrzyczani...; Kobieta; W pośpiechu; Za jaką cenę; Późnojesienna*. • [15.10.2024]. *Kolorowe motyle – wiersz Anny Kropiewnickiej*. • [24.10.2024]. *Namaluj mi jesień – wiersz Anny Kropiewnickiej*. • [27.10.2024]. *Jak zmieszać prąd z brodaczem, paznokciem i poszetką? – czyli radosna zabawa słowem*. [Podlaska Redakcja Seniora]. M. in.: J. M. Dzienis. *O pewnym brodaczu*. [Wiersz].

■ PODKASTY, TWÓRCZOŚĆ. • [10.09.2024]. *Bogdan Dmowski czyta wiersze Jolanty Marii Dzienis – Rzekotka*. [YouTube; 1:43 min.].

■ ROZMAITOŚCI, TWÓRCZOŚĆ. • [28.09.2024]. *Jolanta Maria Dzienis o tomiku Haliny Wiszowatej „Niebieski bukciecik”*. • [29.09.2024]. *W jednym życiu tak wiele – opowieść przez Reginę Świtoń spisana*. [Na podstawie opowieści Sybiraczki Bolesławy Gąsowskiej].

■ SREBRO NIE ZŁOTO. • [14.10.2024]. *Wyniki konkursów literackich: im. Jana Leończuka i konkursu Srebro nie złoto*. • [17.10.2024]. *Prezentacja nagrodzonych i wyróżnionych utworów Konkursu Literackiego SREBRO NIE ZŁOTO*. M. in. teksty: J. M. Dzienis. *miejska tęcza; epitafium*. [Wiersze; trzecia nagroda]. J. Drozdowska. *Zawierszam, zastożam pamięć*. [Wiersz; wyróżn.]. Zbigniew Nowicki. *Dewoci*. [Opowiadanie, trzecia nagroda].

■ KULTURA. • [19.10.2024]. *Romana Kowalewicz słów kilka o „Zdarzeniach nie do uwierzenia” Reginy Kantarskiej-Koper*.

„Nowy Goniec Knyszyński”. Miesięcznik Turystyczno-Kulturalny. [Knyszyn]. ## Nr 7-8 (234). Lipiec-sierpień 2024. Str. 35: Regina Świtoń. *Wspomnienia pachnące legendą*. [Wiersz]. ## Nr 10 (237). Październik 2024. # Str. 15: Anna Aneta Molska. *Regina Świtoń Osobowością Roku*. Tekst: „Osobowość Roku” to inicjatywa mająca na celu wyróżnienie wybitnych ludzi, którzy swoją działalnością przyczyniają się do rozwoju lokalnej społeczności. W naszym województwie akcję prowadziły gazety „Kurier Poranny” i „Gazeta Współczesna”. W powiecie monieckim tytuł „Osobowość Roku 2023” w dziedzinie KULTURA otrzymała nasza poetka Regina Świtoń. Za pośrednictwem naszej gazety Pani Regina serdecznie dziękuje za zgłoszenie do nominacji, zainteresowanie plebiscytem i oddanie na nią swego głosu. # Str. 22-25: *Święto słowa w Knyszynie*. [Pod nagłówkiem: *IX Biesiada Literacka im. Elżbiety Daniszewskiej*. Tu m. in. wiersze: Regina Świtoń. *W rodzinnej sadybie*; Anna Czartoszewska. *Suszki*; Irena Słomińska. *Tak wiele*. # Str. 43: Regina Świtoń. *W uśmiechu nieba*. [Wiersz].

Wybór wierszy XXIX Konkursu Poezji Religijnej im. ks. prof. Józefa Tischnera. Związek Podhalan w Polsce im. św. Jana Pawła II, Oddział w Ludźmierzu, Sanktuarium Matki Bożej Ludźmierskiej; Ludźmierz 2024. ISBN 978-83-947380-8-2. # Str. 46-50: Urszula Krajewska-Szeligowska. *Soli Deo; Boży artyści*. [Wiersze]. # Str. 65: Joanna Pisarska. *My*. [Wiersz].

Spotkaliśmy się na zawsze. Almanach poetycki XXIII Ogólnopolskich Literackich Spotkań Pokoleń Kruszwica-Kobylniki 2024. Wydawca: Centrum Kultury i Sportu „Ziemowit” w Kruszwicy, Kruszwica 2024. Stron 93; 20,7 x 14,8 cm; ISBN 978-83-95061-2-2. XV edycja almanachu poetyckiego wydanego w ramach XXIII Ogólnopolskich Literackich Spotkań Pokoleń Kruszwica-Kobylniki (5-7.09.2024). Prezentowane wiersze są pokłosem konkursu XXIII OLSP. Jury konkursu: Marek Wawrzekiewicz (przewodn.), Ela Galoch, Waldemar Hładki. Redakcja: „Majka” Maria Żywicka-Luckner. # Str. 44-45: Krystyna Gudel. *Jej droga; Świat kobiety*. [Wiersze; autorzy zakwalifikowani do udziału w spotkaniach]

Zbiór słów w wierszu i prozie. Antologia podlaska. Stowarzyszenie Szukamy Polski, Stowarzyszenie Podlascy seniorzy, podlaskisenior.pl, Białystok 2024. Stron 115; 20,8 x 14,8 cm; ISBN 978-83-965815-2-5. Redakcja: Jolanta Falkowska, Bożena Bednarek. Zawiera teksty z konkursu im. Jana Leończuka z lat 2022-2023 oraz „Srebro nie złoto” z roku 2023. # Str. 14-15: Irena Słomińska. *Pamięć; Morze spokojne*. [Wiersze]. # Str. 24-25: Apoloniusz Ciołkiewicz. *Tak jakoś*. [Wiersz]. # Str. 29-30: Jolanta Maria Dzienis. *Przemijanie – dyptyk*. [Wiersz]. # Str. 31: Irena Słomińska. *Stabość*. [Wiersz]. # Str. 40-48: Janina Jakoniuk. *Rocznica*. [Opowiadanie]. # Str. 72-74: Józefa Drozdowska. *Pożegnanie lata*. [Proza]. # Str. 87-88: Anna Czartoszewska. *Historia, która nie ma końca*. [Opowiadanie]. # Str. 92: Krystyna Gudel. **** poeci też odchodzą...* [Wiersz]. # Str. 106-113: Jolanta Maria Dzienis. *Byłam przy tym*. [Opowiadanie]. ## Książka dostępna w internecie [pdf].

Zofia Wróblewska. *Okruchy*. Wydawca: Fundacja Kulturalno-Artystyczna Testudo, Brańsk 2024. Stron 97; 16,6 x 11,7 cm; ISBN 978-83-947962-3-5. Redakcja: Monika Potrzebowska. Okładka i grafiki: Barbara „Pacyfka” Śliwińska. Wyd. I, 200 egz. Tomik wierszy – 101 miniatur poetyckich w trzech częściach: *I. Kilka słów o miłości; II. Chwila refleksji; III. Czas ludzi*. # Str. 6-11: dr Artur Konrad Żołądź. *Bochenek rozmaitości*. [Wstęp]. # Str. 92-93: Zdjęcie i notka o autorce. Z tekstu: *Zofia Wróblewska – urodzona 20.02.1973 jako Ryba – wrażliwy wizjoner, który stara się żyć w harmonii ze wszystkimi istotami. Znak chińskiego Bawołu daje jej siłę, upór oraz różnorodne talenty. (...) Zadebiutowała tomikiem poezji „Ocalić dzień”, a kolejnym – „Zapach czasu” – utrwaliła swoją renomę. Publikowała również w różnorodnych antologiach.*

Urszula Krajewska-Szeligowska. *Urok roku*. Ridero, [b.m.w.] 2024. Stron 102; 20,4 x 14,4 cm; ISBN 978-83-8384-546-3. Korektor: Regina Kantarska-Koper. Zdjęcia: Urszula Krajewska-Szeligowska i laureaci konkursów fotograficznych „Piękno Gminy Zambrów w obiektywie” i „ZOOM na gminę”. Tomik rymowanych wierszy, podzielonych na działy: *Moje pory urokliwe; Wiosna; Lato; Jesień; Zima; Całoroczna natura; Rok z fraszkami; Rok z etymohomkami*. # Str. 100: *O autorce*. # Str. 101: Zdjęcie autorki. # Str. 102: *Patronat*. # Na ostatniej stronie okładki tekst Reginy Kantarskiej-Koper: „*W moich wierszach zamieszkał cały rok. W każdej porze / znajdę coś, gdy przez okno tylko wyjrzę, co mi / da natchnienie. Cóż bardziej zaciekać mnie może / niż ten świat, gdy na oścież mu otworzę swe drzwi?*” *Urszula Krajewska-Szeligowska – „Moje pory urokliwe”*. *Tak pisze w nowej książce „Urok roku” Urszula Krajewska-Szeligowska, mistrzyni poezji klasycznej, piewczyni przyrody. Ale tak jak natura nie szczędzi nam niespodzianek, również i poetka zawsze ma coś nowego, odkrywczego do powiedzenia. Zawsze jest to ciekawy punkt widzenia, interesujące podejście do tematu. W rezultacie powstały wiersze tak śliczne, że nie można się powstrzymać od zachwyty!*

KSIĄŻKI

Jerzy Binkowski. *W drodze z Damaszku*. On the road from Damascus. Przekład Barbara Lahey, Patrick Lahey. Wydawnictwo BUK, Białystok 2024. Stron 47; 19 x 16 cm; ISBN 978-83-66465-45-9. Opracowanie graficzne, projekt okładki, skład: Teresa Muszyńska. Wydanie pierwsze dwujęzyczne. Cykl 20 wierszy (pierwsze wydanie: Bernardinum, Pelplin 1994). # Na skrzydełku okładki notka o autorze: *JERZY BINKOWSKI* urodzony w 1949 roku w Gdyni, psycholog (Katolicki Uniwersytet Lubelski), reżyser (Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna w Warszawie), członek warszawskiego oddziału Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Od 50 lat mieszka z rodziną w Białymstoku. Autor książek poetyckich, m.in.: *AVE* (2022), *Miłość. JEST.* (2023), *Szepty pustyni* (2024). Wyróżniony Medalem Gloria Artis (2022) oraz Nagrodą Feniks 2023. Strona autora: www.jerzy-binkowski.com.pl # Na ostatniej stronie okładki słowa Waldemara Smaszcza: *Poemat Jerzego Binkowskiego przykuwa uwagę już swoim tytułem. „W drodze z Damaszku” – to musi poruszyć wyobraźnię, zatrzymać myśl, a nawet zaniepokoić. Tak sformułowane zdanie przesuwając ustalone wydawałoby się ostatecznie znaczenie wydarzenia, które nie tylko zapoczątkowało uczestnictwo Apostoła Narodów w dziele ewangelizacji, ale było też najbardziej bodaj wyrazistym przejawem nieuchronności woli Bożej. Przemiana Szawła, który „siał grozę i dyszał żądzą zabijania uczniów Pańskich” w wybrane naczynie Pana, była wydarzeniem wstrząsającym, porażającym wręcz, którego z ludzkiego punktu widzenia nie sposób wytłumaczyć.*

Beata Kalińska. *Cośmy zebrali po drodze*. Wydawnictwo B63, Chybie 2024. Stron 262; 24 x 17 cm; ISBN 978-83-971049-4-5. Historia rodziny i wspomnienia poetki z Cieszyna. Liczne ilustracje – dokumenty, fotografie; liczne wiersze. Na str. 258 książkę zamyka wiersz bez tytułu: *Tyle w nas / cośmy zebrali po drodze / najwięcej kruchych / zwyczajnych liści / trochę kamieni / by zagłuszyć smutek / pół kubka gęstej / zbuntowanej krwi / parę błyszczących koralików / scen z Ferdynandem Gombrowicza / skrzydło motyla, kolec róży / i wiatr wiejący prosto w oczy / i złogi wapnia które w kości / i złogi marzeń które nigdy / i tyle w nas światła / ile umierania / i tyle Boga / ile człowieka.*

Irena Łukszo. *Z ulotności*. Wydano nakładem autorki, Warszawa 2024. Stron 148; ISBN 978-83-905398-9-8. Tomik wierszy. # Na ostatniej stronie okładki notka o autorce: *Irena Łukszo – autorka tomików wierszy: „W pętli czasu”, „To tylko błysk”, „W rozdarłej ciszy”, „Płyniesz światłem poza mną”, „Szelest słów”, „Przestrzenie”, „Z milczenia”, „Z krzyku”, „Z ciszy”, „Kształty zamyśleń”, „Z ulotności” jest obecnie ostatnim tomikiem oraz powieści: „W toni uczuć”. Debiutowała w Literackim Głosie Nauczycielskim. Publikowała w prasie, radiu i telewizji oraz wielu antologiach m.in. z serii *Warszawskiej Jesieni Poezji*. Laureatka nagród i wyróżnień w konkursach literackich. Od 2002 roku członkini Związku Literatów Polskich. W 2023 roku otrzymała Srebrną Odznakę Honorową Związku Literatów Polskich w Warszawie.*

Iwona Świerkula. *Pięć księżyców*. Wydawca: Mamiko, Apolonia Maliszewska, Warszawa – Nowa Ruda 2023. Stron 63; ISBN 978-83-66934-89-4. Tomik poezji. Obrazy autorstwa Iwony Świerkuli. # Na ostatniej stronie okładki zdjęcie i nota o autorce: *Iwona Świerkula – absolwentka SGH w Warszawie, przez kilka lat pracowała jako stewardessa pokładowa, matka trzech córek. Prowadziła przez 8 lat literacką Fundację Gargano, teraz na emeryturze, członek Polskiego Stowarzyszenia Haiku. Wydała książki poetyckie: „Ostre hamowanie” (2008) zasponsorowane przez PLL LOT SA, „Anioł Pański” (2009), „Kiedy czas pisze wiersze” (2015), „Przyprawę” (2016), „50 wierszy na godzinę” (2016) – I nagroda w IX edycji Ogólnopolskiego Konkursu im. W. S. Sebyły w Będzinie, „Polskie fado” (2018), „Płacz sosny” (2019), „Odcienie Fudzi” (2020), „Szwy” (2020), „To jeszcze nie raj” (2021), „Gołoborza” (2021) „Demakijaz” (2022), „Błękitna Rapsodia” (2022) i „Puerto Znikąd” (2023). Jej wiersze były publikowane w wielu almanachach i publikacjach (laureatka kilkudziesięciu ogólnopolskich konkursów literackich).*

K. S.

Kazimierz Słomiński

GALERIA TYPÓW

AKTYWISTA

Bardzo lubi aktywista
poaktywić, by skorzystać.

BAŁWAN

Bałwan to kultowa postać,
po pogaństwie nam się ostał.

BIEGACZ

Dobrze biega, lecz niestety
nie przegoni w życiu mety.

BIZNESMEN

Do biznesu trzeba głowy,
bo to zawód dziś życiowy.

CZARNOWIDZ

To i owo widzi czarno,
a najbardziej ludzką marność.

DŁUŻNIK

Jak już popadł w szpony diaska,
z długu z trudem się karaska.

ESTETA

Niepoprawna z niego sztuka,
bo w brzydocie piękna szuka.

FISZA

Gruba ryba po dnie chodzi,
nietykalna w mętnej wodzie.

GROSZORÓB

Gdy inni kradną miliony,
on przy groszach uziemiony.

IDEALISTA

Gdy przewróci mu się w głowie,
to jest z niego ideowiec.

IKS

Każdy iks to, jak wiadomo,
jest chodzącą niewiadomą.

KIESZONKOWIEC

Taki złodziej kieszonkowy –
marny drobiazg przy bankowym.

MAFIOSO

Wstrętny bywa, bo zazwyczaj
stoi za nim ośmiornica.

MARNOTRAWNY

Inni tracą ponad miarę,
a on przy nich marny, szary.

MAŻ STANU

Jaki stan dobitnie szerzy,
widać po tym, co już leży.

MĘDREK

Czasem lubi stwarzać pozór,
że zjeść chciałby własny rozum.

NARKOMAN

Przez dilerów niecne sprawki
ciągle męczy go głód trawki.

PASKUDA

Tak namiętnie kocha ludzi,
że im zawsze coś spaskudzi.

PIERWSZY PO BOGU

Tak pozycji swojej broni,
że Bóg pierwszy, ale po nim.

PRZEŁOŻONY

Gdy trudności z każdej strony,
nie wie, przez co przełożony.

RECYDYWISTA

Tak zepsutym jest gagatkiem,
że wciąż widzi ten świat w kratkę.

RYCERZ

Cnót rycerskich miał bez liku,
siekąc swoich przeciwników.

SAMODZIELNY

Kiedy inni dzielni w stadzie,
sam też jakoś sobie radzi.

SPECJALISTA

Bywa także specjalista
na ten specjal wprost spod listka.

SWÓJ CZŁOWIEK

Trochę swój, a trochę biesa,
bo go nęci pełna kiesa.

Kazimierz Słomiński